Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 7. Września 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 32.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Angliji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

LITWOS.

(Ciąg dalszy).

VIII.

We dwa tygodnie po opuszczeniu Letniego obozu, wjechaliśmy w granice Utahu, a podróż lubo po staremu nie bez trudów, jednakże z początku szła raźniej. Mieliśmy jeszcze do przebycia zachodnią część gór Skalistych, tworzących cały splot rozgałęzień pod nazwą Wahsath Mountains. Ale dwie znaczne rzeki: Green i Grand River, których zlew tworzy ogromne Kolarado, i liczne przytoki tychże rzek, przecinające góry we wszystkich kierunkach, otwierają w nich dość łatwe przejścia. Przejściami temi dotarliśmy po niejakim czasie, aż do jeziora Utah, od którego zaczynają się słone ziemie. Otoczył nas kraj dziwny, jednostajny, posępny: wielkie doliny stepowe, okolone amfiteatrami tępo uciętych skał, następują tu jedne po drugich wiecznie takież same i nużąco jednostajnie. Jest w tych pustyniach i skałach jakaś surowość, nagość i martwota, tak że na widok ich przychodzą na myśl pustynie biblijne. Jeziora tu słone o brzegach jałowych i bezpłodnych.

Drzew nie ma; łysa na ogromnych przestrzeniach ziemia poci się solą i potażem lub pokrywa się szarem zielem o grubych wałkowatych listkach, które rozłamane sączą sok lepki i słony. Podróż to nudna i gnębiąca, bo upływają całe tygodnie, a pustynia ciągnie się bez końca i w wiecznie jednakie, jednako skaliste otwiera się płaszczyzny. Siły nasze poczęły się znow wyczerpywać. Na stepach otaczała nas jednostajność śmierci. Jakieś pognębienie i obojętność na wszystko opanowała zwolna ludzi. Minęliśmy Utah: ciągle te umarłe ziemie! wjechaliśmy do Newady: to samo! Słońce piekło tak, że głowa pękała z bólu; promienie odbite od pokrytej solą powierzchni, raziły oczy; w powietrzu unosił się pył jakiś, niewiadomo zkąd się biorący, który rozpalał powieki. Bydło pociągowe raz wraz chwytało zębami ziemię, a często padało, rażone słońcem jakby piorunem. Większość ludzi trzymała się tylko myślą, że jeszcze tydzień lub dwa, i Sierra-Newada ukażą się na widnokręgu, a za niemi upragniona Kalifornja. Tymczasem upływały dnie i tygodnie w trudach coraz większych. W ciągu tygodnia trzy wozy musieliśmy zostawić, bo niebyło już dosyć zaprzęgów. O! ziemia to była nędzy i niedoli! W Newadzie pustynia stała się jeszcze głuchszą, a stan nasz gorszy, bo rzuciły się na nas choroby. Pewnego ranka ludzie przyszli mi powiedzieć, że Smith chory. Poszedłem zobaczyć, co mu jest, i z przerażeniem przekonałem się, że to tyfus powalił starego górnika. Tylu klimatów nie zmienia się bezkarnie; zmęczenie mimo krótkich odpoczynków odzywa się ustawicznie, a zarody chorób rozwijają się z utrudzenia i niewygód. Lilian, którą Smith kochał, jak dziecko własne i w dzień ślubu błogosławił, uparła się go pilnować. Ja, słaby człowiek, drżałem o nią duszą całą, alem jej przecie nie mógł zabronić być chrześcianką. Przesiadywała też nad chorym całe dnie i noce wraz z ciotką Attkins i ciotką Grosvenore, które poszły za jej przykładem. Drugiego dnia jednak stary stracił przytomność, a ósmego dnia choroby umarł na rękach Lilian. Pochowałem go, wylewając rzewne łzy nad zwłokami tego, który nietylko był moim pomocnikiem i prawą we wszyskiem ręką, ale prawdziwym ojcem dla nas obojga. Myśleliśmy, że po tak bolesnej ofierze Bóg zmiłuje się nad nami, ale to był dopiero początek krzyżów, albowiem tego samego dnia zapadł inny górnik, a potem co dnia prawie kładł się ktoś na wozie i opuszczał go dopiero, znoszony na naszych rękach do grobu. I tak wlekliśmy się po pustyni, a za nami wlokła się zaraza, rzucając się na coraz nowe ofiary. Z kolei, zachorowała i ciotka Attkins, ale dzięki staraniom Lilian, choroba jej przesiliła się szczęśliwie. Dusza zamierała wówczas we mnie każdej chwili, i nieraz, gdy Lilian była przy chorych, a ja gdzieś tam na straży na przodzie taboru, sam wśród ciemności, to rękoma ściskałem skronie i w modlitwie do Boga kładłem się, jak pies pokorny, skowycząc o miłosierdzie dla niej i nie śmiejąc wymówić: „bądź Twoja a nie moja wola.“ Czasem w nocy, gdyśmy nawet byli przy sobie, budziłem się nagle, bo mi się zdawało, że zaraza uchyla płótno mego wozu i zagląda, szukając Lilian. Wszystkie te chwile, w których nie byłem przy niej, a takich było najwięcej, zmieniły się w jedną męczarnię dla mnie, pod którą giąłem się, jako drzewo pod wichrem. Dotąd jednak Lilian wytrzymywała wszystkie trudy i wysilenia. Najsilniejsi ludzie padali, a ją widziałem, zawsze wychudłą wprawdzie, bladą i z coraz wyraźniejszemi oznakami macierzyństwa na czole, ale zdrową, przechodzącą od wozu do wozu. Nie śmiałem nawet pytać jej, czy zdrowa, tylkom ją brał w ramiona i przyciskał do piersi długo i długo, a gdym i chciał co rzec, to mnie tak coś ściskało w gardle, żem słowa nie mógł przemówić. Zwolna jednak nadzieja zaczęła we mnie wstępować, a w głowie przestały mi huczeć straszne słowa biblji: „Who worshipped and served the creature more than the Creator?!“ Zbliżaliśmy się już do zachodniej części Newady, gdzie za pasmem martwych jezior, słone ziemie i pustynia skalista kończą się, a zaczyna się znowu pas stepowy równiejszy, zieleńszy i bardziej żyzny. Gdy po dwóch dniach drogi nie zachorował nikt, myślałem, że już się skończyła nędza nasza. A czas był wielki potemu! Dziewięciu ludzi zmarło, sześciu było jeszcze chorych; pod wpływem strachu zarazy karność zaczęła się była rozprzęgać; konie nam powyzdychały prawie wszystkie, a muły były podobniejsze do szkieletów zwierzęcych, niż do zwierząt. Z pięćdziesięciu wozów, z któremi wyruszyliśmy z letniego obozu, już tylko trzydzieści dwa wlokło się po pustyni. Przytem, ponieważ nikt nie chciał

iść na polowanie, z obawy aby nie upaść gdzie zdala od obozu i nie pozostać bez pomocy, zapasy więc nie przymnażane kończyły się. Od tygodnia już, pragnąc je zaoszczędzić, żywiliśmy się czarnemi wiewiórkami ziemnemi, ale cuchnące ich mięso uprzykrzyło nam się tak, iż z największem obrzydzeniem braliśmy je do ust. Zresztą i tej nikczemnej strawy nie było pod dostatkiem. Za jeziorami jednak, zaraz zwierzyna stała się częstszą, a pasza obfitszą. Spotkaliśmy znowu Indjan, którzy napadli nas wbrew swoim zwyczajom w biały dzień i na równym stepie, że zaś mieli kilkanaście sztuk broni palnej, zabili nam czterech ludzi. Ja w zamięszaniu zostałem ranny w głowę toporkiem tak silnie, iż wieczorem tego dnia straciłem od upływu krwi przytomność. Ale byłem prawie szczęśliwy, że się tak stało, teraz bowiem Lilian pilnowała mnie, nie chorych, od których mogła dostać tyfusu. Trzy dni przeleżałem na wozie, i to były dobre trzy dni, bo byłem ciągle przy niej, mogłem całować jej ręce, gdy mi zmieniała bandaże i patrzeć na nią. Trzeciego dnia byłem już w stanie wsiąść na koń, ale dusza zesłabła we mnie, i udawałem jeszcze chorego przed samym sobą, byle tylko być z nią dłużej. Jednakże teraz dopiero poznałem, jak byłem strudzony i jakie zmęczenie wychodziło z kości moich, gdym leżał. Bom przecież i nacierpiał się także poprzednio nie mało, ze strachu o żonę. Wychudłem też, jak kościotrup jaki, a jak dawniej ja na moją ukochaną, tak teraz ona na mnie spoglądała z trwogą i niepokojem. Ale, gdy głowa przestała już chwiać mi się z ramienia na ramię nie było rady! trzeba było siadać na ostatnią żywą jeszcze szkapę i prowadzić dalej tabor, tembardziej, że jakieś niepokojące oznaki otoczyły nas znowu ze wszytkich stron. Upał stał się prawie nadnaturalny, a w powietrzu unosiła się jakby jakaś mgła brudna, jakby dym odległej srzeżogi. Widnokrąg zamącił się i zaciemnił; nieba nie można było dojrzeć, a promienie słońca przychodziły na ziemię rude i chorobliwe. Zwierzęta okazywały dziwny niepokój i oddychały chrapliwie wyszczerzając zęby; my także piersiami wciągaliśmy ogień. Myślałem, że to jest skutek jednego z tych wiatrów duszących z pustyni Gila, o których opowiadano mi na wschodzie, ale naokół panowała cisza i żadne zdźbło trawy nie poruszyło się na stepie. Wieczorami słońce zachodziło takie czerwone jak krew, a noc nastawała duszna. Chorzy jęczeli o wodę, psy wyły, ja zaś nocami całemi krążyłem o kilka mil od obozu, aby się przekonać, czy się czasem stepy nie palą. Ale nigdzie niebyło widać łuny.

Uspokoiłem się wreszcie myślą, że to istotnie musi być srzeżoga, ale z pożaru, który już wygasł. W dzień zauważyłem, że zające, antylopy, bawoły, wiewiórki nawet ciągną pospiesznie na wschód, jakby uciekając od tej Kalifornji, do której dążyliśmy z takiem wysileniem. Że jednak powietrze stało się trochę czystsze, a upał mniejszy, ugruntowałem się ostatecznie w myśli że pożar miał miejsce, ale już przeszedł, zwierz zaś szuka tylko paszy gdzieindziej. Trzeba nam było tylko dotrzeć jaknajprędzej na miejsce, by się przekonać, czy szlak pożarny można przebyć czy też należy go objechać. Według mego wyrachowania do gór Sierra-Newada nie mogło być już więcej jak trzysta mil angielskich, czyli około dwudziestu dni drogi, postanowiłem więc dążyć do nich, choćby ostatnim wysiłkiem. Jechaliśmy teraz nocami, bo w południowych godzinach upał osłabiał niezmiernie zwierzęta, a między wozami zawsze było trochę cienia, w którym mogły w dzień odpocząć. Jednej takiej nocy, którą nie mogąc się już utrzymać ze zmęczenia i rany na koniu, spędzałem na wozie przy Lilian, usłyszałem nagle dziwne świstanie i zgrzyt kół trących o jakiś szczególniejszy grunt, a jednocześnie okrzyki: „stop! stop!“ rozległy się na całej długości taboru. Zeskoczyłem natychmiast z wozu i przy blasku księżyca ujrzałem woźniców schylonych ku ziemi i wpatrujących się w nią pilnie, a jednocześnie doszedł mnie głos: „Ho! kapitanie! jedziemy po węglu!“ Schyliwszy się pomacałem grunt — istotnie byliśmy na spalonym stepie.

Zatrzymałem tabór natychmiast, i staliśmy resztę nocy na miejscu. Nazajutrz, skoro słońce weszło, dziwny widok uderzył nasze oczy. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się płaszczyzna czarna jak węgiel; nietylko wszystkie krzewy i trawy były na niej spalone, ale ziemia zeszklona tak, że nogi naszych mułów i koła wozów odbijały się w niej jak w przeźroczu. Nie mogliśmy dobrze dostrzedz, jak szeroko przeszedł pożar, bo widnokrąg zamglony był jeszcze srzeżogą; kazałem jednak bez wahania nawracać ku południowi, by dotrzeć do końca szlaku, zamiast hazardować się na zgliszcza. Wiedziałem z doświadczenia, co to jest podróż spalonym stepem, gdzie nie ma jednego zdźbła trawy dla zwierząt; ponieważ zaś ogień szedł widocznie z wiatrem w kierunku północnym, spodziewałem się, idąc ku południowi, dosięgnąć początku pożogi. Ludzie wypełnili wprawdzie mój rozkaz, ale dość niechętnie, bo pociągał on za sobą, Bóg wie, jak długą zwlokę w podróży. W czasie południowego odpoczynku srzeżoga rzedniała coraz bardziej, a upał za to stawał się tak straszny, że aż powietrze drżało z gorąca, i nagle stało się coś takiego, co za cud można było uważać.

(Dok. nast).

ŻYCIE LITERACKIE

W STAROŻYTNYM RZYMIE.

SZKIC LITERACKI

przez

Stanisława Wegnera.

(Ciąg dalszy).

Na to pytanie odpowiemy krótko: Przez dyktowanie. Wielki nakładca musiał mieć setki niewolników albo innych w tem zarobku szukających robotników, a w pośród nich znajdowały się nawet kobiety, którzy mianowicie w przepisywaniu usłyszanych wyrazów szybko, wyraźnie i poprawnie, wyćwiczeni byli. W skróceniach byli ci pisarze, używający ich do osiągnięcia jak największej szybkości, tak wyćwiczeni, jak publiczność była przyzwyczajona do szybkiego czytania tych skróceń. Jeden przykład, który również Martialisowi zawdzięczamy, posłuży do objaśnienia tego postępowania. W krótkiej stosunkowo drugiej księdze swych epigramatów przytacza za przyczynę szybkiego ich końca, że się znajduje w potrzebie pieniężnej i potrzebuje honorarjum. „Potem, że to w godzinie ukończy nakładca.“ Księga ta zawiera w nowych, drukowanych wydaniach 15 szczelnie nadrukowanych stron prozą, liczby porządkowe 93 epigramatów i 568 wierszy, przeciętnie na godzinę pracy.

Spróbójmy sobie teraz przedstawić tę scenę: Stu ludzi z wypróbowanemi rękoma i uszami stoją w pogotowiu, ażeby spisać dyktando człowieka obeznanego ze sposobem dyktowania i wpośród nieprzerwanej ciszy notują pospiesznie trzcinką usłyszane słowo, na papierze.

W jednej godzinie, jak mówi Martialis, być może trochę dłużej, czasem i krócej ukończają. Czy jeszcze więcej grup stało na rozkazy, którym z jednej co dopiero otrzymanych kopji to samo dzieło w innym pokoju oficyny równocześnie było można dyktować, to zostawimy na boku a pozostaniemy przy przyjętej liczbie stu przepisywaczy.

W czasie roboczym dziesięciu godzin dziennie mogli więc w jednym dniu 1000 egzemplarzą tej książki epigramatów (20 stron druku dosyć ścisłego w teubnerowskiem wydaniu Martialisa) wykonać, w czterech lub jeśli dzienny czas pracy na 8 godzin zniżymy, w pięciu dniach 4000 kopji.

Natychmiast jak tylko jedna partja była napisaną, szła do korrektorów, których musiało być wielu i wyćwiczonych. Poprawione egzemplarze dostawały się do rąk oprawiaczy czyli introligatorów. Możemy sobie wystawić z monotonności kształtów, jeźli nie materjału do opraw, że te, albo przynajmniej główne ich części w używanych formatach musiały być przygotowane albo w zapasie, tak, że księga aż do guzika czyli umbilicus w jak najkrótszym czasie mogła być gotową.

Oto, szybkość która przewyższa nawet szybkość druku.

Już ogromny napływ cudzoziemców, poselstwa, urzędników i tym podobnych odwidzin z prowincji, którzy ze wszystkich stron do Rzymu się zjeżdżali, musiał, nie mówiąc już o potrzebach, czytania w samem mieście stołecznem nadzwyczaj wpływać na szybkie rozkupywanie, mianowicie nowych dzieł ulubionych pisarzy. Niemniej wpływały też na to niskie ceny książek, które do zakupna ich nawet mniej zamożnych przyciągały. Martialis opowiada, że można nabyć jego epigramata (być może siedm pierwszych książek) w ozdobnej purpurowej oprawie za 5 denarów, tj. za 2 flor., w mniej pięknej oprawie za 6—10 sesterców, tj. 1 flor. 50 kr. którą to cenę za oprawny egzemplarz, choćby tylko pierwszej księgi epigramatów, zawierającej ich 118 o przeszło 700 wierszach na 39 stronnicach umiarkowaną nazwać możemy. O księdze swej Xeńców powiada Martial, że ją jego nakładca Tryfon za cztery sesterce, tj. 40 kr. sprzedaje; ale robi zaraz uwagę, że tenże i przy cenie do połowy zniżonej dobrze by zarobił.

Przy takich cenach pojmiemy też, że prywatny człowiek chętniej książki brał od księgarza gotowe, aniżli je sobie przez wydoskonalonych niewolników przepisywać kazał, ponieważ ich lepiej i korzystniej mógł zatrudnić w inny sposób.

Tą samą drogą szybkiego pisma i dyktowania rozmnażano według potrzeby i pamflety, wiadomości urzędowe, protokoły senatu i edykty jak np. Cycerona za czasów Katylińskiego sprzysiężenia, ażeby na wszystkie strony państwa mogły być rozesłane i rozdane. Rząd miał naturalnie na ten cel dostateczną liczbę niewolników i pisarzy. Przy nadzwyczajnych okolicznościach w czasach burzliwych niepokojów, kiedy

i bez tego handel ustawał, mogli być też do tego niewolnicy księgarscy używani i tym sposobem można było w przeciągu 24 godzin 10 do 20 tysięcy takich powiadomień otrzymać.

Zwracamy uwagę jeszcze na jedno. Jeżli książkę jaką szybko wyprzedano i przygotowany zasób egzemplarzy się rozszedł, to można było pierwszy zwolna a jednak pospiesznie i ciągle innym zastąpić, dopóki książka dobrze szła. Robiono to prędzej i z mniejszym zachodem, jakoteż z daleka mniejszem ryzykiem, niż dzisiaj nowe wydania wyczerpanego dzieła. Jeżli zaś od przytoczonych cen książek, które zapewne nie przy wszystkich książkach były równe, odciągniemy zarobek nakładcy, honorarjum autora, koszta zewnętrznej wyprawy jak najniżej obliczone, pozostanie jako zapłata przepisywaczom za kopję objętości arkusza ścisłego druku co zajwyżej 5 ct. Ta taniość i mnóstwo sił roboczych, stenografja i dyktowanie pozwalały na osiągnięcie tak zadziwiających rezultatów w szybkiem rozmnażaniu ksiąg i większych dzieł i wyjaśniają nam, dlaczego już starożytność nie czuła popędu do wynalezienia sztuki drukarskiej, choć do czego zważając na to, że znali odciskiwanie wypukłe albo na platach do wyżynanego pisma mało tylko brakowało. Co by ich było powinno na tę myśl naprowadzić a co najwyżej, niewygoda, jaka połączona jest zawsze z rozmnażaniem piśmiennem a tem bardziej przy tak pospiesznem fabrycznem prawie wykonywaniu kopji bardziej uczuwać się dawała, tj. niepoprawność przepisów. Ztąd też ceniono tak wysoko bezbłędne lub przez autora samego poprawione egzemplarze.

Zawsze jednak pozostaje to uwagi godnem, że Rzym tak ogromną wydał literaturę i o równie olbrzymie rozpowszechnienie jej płodów bez druku się postarał, podczas gdy literatura i bogactwo książkowe innego wielkiego narodu tj. Chińczyków, którzy już w owym czasie drukarstwo znali i w użyciu mieli, dotąd jeszcze w niemowlęctwie pozostaje.

Ręka w rękę z rozpowszechnieniem płodów literackich przez pismo, możnaby powiedzieć torując mu drogę i dopełniając, szło rozpowszechnienie przez przysłuchiwanie się odczytom i recytacjom, mianowicie dzieł poetycznych. Publiczność rzymska była przyzwyczajona do mów, już ze szkoły przygotowana na wpływ słowa żywego. Kiedy lud miał stanowić o sprawach państwa, zdołał w ostatniej jeszcze chwili często potężny mowca w senacie lub komicjach uspokoić go albo podniecić i na głosowanie wpłynąć. Za cesarstwa nie było mowców ludowych, w służalczym senacie nie było potrzeba mowców nawet przed sądem, gdzie dawniej niejedno wolnomyślne słowo o politycznych stosunkach padało, skazane były mowy oskarżające i obronne na formułki konieczności i straciły przez to interes dla publiki. Wtedy znaleźli Rzymianie wykluczeni od czynności politycznych ulubione wrażenia dla ducha w rozpoczynającej się i na wzorach greckich kształconej poezji rzymskiej.

Próżnia nieczynności, jakiej się nawet wielka część niezamożnych, lecz z swego pochodzenia dumnych obywateli, oddawała, zapełniała się i ożywiała odczytami poetów i filozofów.

Duchowe te zabawy popierali samowładzcy, jak to każdy łatwo zrozumie, wszelkiemi siłami, aby od ludu tem więcej oddalić stare wspomnienia i uśpione zachciaki dawnej politycznej działalności.

Poważne rozprawy, historyczne odczyty, napełnione duchem republikańskim straciły wnet magnetyczny swój wpływ wraz z rosnącem zdenerwowaniem i systematycznem przyzwyczajeniem narodu do zbytkowych rozrywek. Zresztą cesarze, nawet tak łagodny i rozważny August, znali, jeżli nie prawdziwą jeszcze cenzurę, to środki do szybkiego przytłumienia każdego żywego wstrząśnienia wynikającego z tej przyczyny. Zakamieniały republikanin Labienus, dostał za to, że przy takim odczycie kilka kart w manuskrypcie swym opuścił z tą uwagą: „to przeczytają po mym zgonie!“ od Augusta rozkaz, ażeby wszystkie swe pisma spalił, postępek ten do takiej doprowadził go rozpaczy, że kazał się żywcem w grobach swych przodków pochować.

Treść tych odczytów musiała być przeto niewinną, ażeby nie wywołać burzy w wysokich sferach. Zapewne dla pokazania co dozwolonem jest wystawiać i jaki punkt ciężkości na formę poetycką, zewnętrzną ozdobę i deklamacją położyć należy, urządził już za panowania Augusta Assinius Pollio pierwszy odczyt publiczny, przez co rozrywka ta wraz z resztą igrzysk, zapasów gladjatorskich oficjalnie zaprowadzoną została.

Nie trzeba jednak mniemać, że to wogóle był pierwszy przykład odczytu literackiego. Już o wiele dawniej istniał zwyczaj odczytywania wyjątków z własnych lub obcych dzieł w kółkach literackich lub w gronie zaproszonych w tym celu przyjaciół i krytyków. Zamierzano tym sposobem usłyszeć sąd obecnych o tem lub owem dziele, albo wywnioskować z uwagi, z jaką obecni odczytowi się przysłuchiwali, obawy lub nadzieje, jak dzieło to przez szerszą publiczność przyjętem zostanie.

Wykształceni bogacze, utalentowane kobiety, które się często same poezją zajmowały, urządzały często kółka takie dla literackich rozrywek, z których nie wykluczano zapewne i innych zabaw. Zmartwiony i z nudów wzdycha Owid na wygnaniu za temi brakującemi mu przedewszystkiem towarzystwami. Należały tu też istniejące od czasów powszechnego zajęcia się literaturą kluby poetów, nazywane szkołami poezji, w których surowsza panowała krytyka, gdzie omawiano sprawy literackie, udzielano sobie nowości i wprowadzano młode wzbijające się talenta. Takie schadzki i odczyty prywatne nie ustały nawet wówczas kiedy odczyty publiczne codziennemi się stały. (Dok. nast).

O POŻYWIENIU

według

Oskara Peschla.

(Dokończenie).

Wspominając o środkach pożywienia, nie można pominąć milczeniem i zbrodni pod tym względem, która tylko między ludźmi się wyrodziła. Zwierzęta należące do tego samego gatunku rzadko pożerają się wzajemnie. Niestety w dziejach ludzkości spotykamy liczne ślady ludożerstwa. Nawet u tych ludów, które już tysiące lat temu zaniechały tej niecnej zbrodni, widzimy częstokroć przykłady okrócieństwa płynącego z religijnego fanatyzmu lub zabobonu. I tak w najnowszych czasach, kiedy się Taipingowie zbuntowali, spotkał Anglik na ulicy swego sługę niosącego w ręku serce powstańca Taipinga. Dobroduszny służący przyznał się, że w tym celu chce spożyć to serce, aby takiej nabyć odwagi, jaką się odznaczał zabity buntownik. Z tego przykładu poznajemy jedną z przyczyn, jaka spowodowała dzikie ludy do spożywania współbliźnich. Mieszkańcy wysp ludożerczych twierdzą również, że ludożerstwo nieprzyjaciela, chcą mu przeto najsromotniejszy zgotować grób. Do tego stopnia poniżenia doszły niektóre narody, że ludożerstwo uważały jako cześć boską a działo się to nie między najwięcej dzikimi ludami, ale u Meksykańczyków, którzy w czasie odkrycia Ameryki, w tej części świata, stali na najwyższym szczeblu cywilizacji. W Europie znaleźli się uczeni, którzy twierdzą, że ludożerstwo należy do fizjologicznych t. j. w ustroju człowieka ugruntowanych zjawisk. Chcąc udowodnić swe zdanie, odwoływano się na wymarłych obecnie mieszkańców Nowej Zelandji Maori. Ci bowiem wylądowawszy na ową wyspę nie zastali tam żadnego zwierzęcia lądowego. Wrodzonym człowiekowi pociągiem do mięsnych potraw, znagleni musieli się stać ludożercami. Dla nielicznych mieszkańców Nowej Zalandji zapomnieli owi uczeni o 20,000.000 Indów, którzy według przepisów swojej religji od wieków jedynie roślinami się żywią. Wszakże i między mieszkańcami tych krajów, gdzie się pasą liczne trzody zwierząt czworonożnych i ssących, znajdują się ludożercy, np. na wyspach: Marquesas, Chawai, Jahiki i t. d., gdzie powszechnie trzodę chlewną hodowano. Maori wynieśli zwyczaj ten poniżający godność człowieka z wysp zamieszkałych przez Malajów. Nawet ludy, trudniące się hodowlą bydła, ulegały temu ohydnie, jak n. p. Tmitlanga i Bassutho w Afryce. Błędnem byłoby zatem mniemanie, że tylko ludy na najniższym stopniu oświaty, t. j. ludy zupełnie dzikie, są ludożercami. Wszyscy uczeni i podróżni zgodzili się, że Hotentoci, Buschmoni i Botokudzi nigdy się nie oddawali ludożerstwu, chociaż należą do ludów zostających na najniższym stopniu oświaty. Przeciwnie u ludów i całych nawet szczepów celujących tak uzdolnieniem, jakoteż i społecznym rozwojem, znajdujemy to hańbiące przyzwyczajenie a mianowicie: u starożytnych mieszkańców Meksyku, o których już wspomniano, u wszystkich Papuanów, a żatem tuziemców Nowej Gwinei, wysp Salamańskich, Hebrydzkich, Nowo Kaledońskich, Fidschi są to ludożercy z łakomstwa, mimo że należą do najbardziej utalentowanych Papuanów i pod względem oświaty wyżej stoją niż Polinezyjczycy. Malajowie na wyspie Sumatra, którzy nawet osobny wynaleźli alfabet, byli ludożercami. To samo zjawisko spostrzegamy u pokoleń zwrotnikowej Afryki na wybrzeżu zachodniem, u Murzynów Tau odznaczających się wysoko rozwiniętem rękodzielnictwem żelaznem, również i u mieszkańców nad górnym Nilem Niam-Niam. Wspominany już sławny podróżnik po Afryce, Jerzy Schweinfurt, przytacza, że nawet Monbuttu należący do białej rasy a pod względem oświaty wielce zbliżeni do starożytnych Egipcjan bez wątpienia temu ohydnemu oddają się nałogowi. Że Europejczycy i to w naszem stuleciu byli ludożercami, a mianowicie, że w czasie oblężenia Messyny mięso z poległych Szwajcarów drożej sprzedawano niż poległych Neapolitańczyków, o tem wspomina H. Schafhausen.

Przekonano się, że pierwszym krokiem do ludożerstwa było używanie mięsa psiego, również, że ludożerstwo z wyjątkiem Papuanów i Polinezyjczyków, nie na wszystkie narody się rozciągało,

*

że występuje tylko sporadycznie w Afryce i Ameryce, że w Azji prawie całkiem nie istnieje, i że w Europie istnienie podobnego występku wcale nie jest udowodnionem. Zapatrywania niektórych badaczy, jakoby dawniej wszystkie ludy oddawały się ludożerstwu, polega na tem mylnem przypuszczeniu, że wszystkie według ich własnej teorji powinny były się rozwijać. Tymczasem dzieje czego innego dowodzą. Liczne ofiary ludzkie, jakie składali mieszkańcy Kondystanu, ludy semickie a początkowo nawet i Grecy na ołtarzach swych bożyszcz, wcale żadnego związku nie mają z ludożerstwem, tak jak i ofiara Abrahama. Serce ludzkie przepełnione wdzięcznością ku Bogu lub przestrachem, ofiaruje mu to, co dla niego jest najdroższem.

Chociaż wiele bardzo i pisano i myślano o wpływie jaki wywiera pożywienie na rozwój ludzkości żadna dotąd ogólna zasada i żaden pewnik nie dał się jeszcze wyprowadzić i wszelkie twierdzenia pod tym względem są mylne. To tylko wiadomo, że niedostateczne, niezdrowe, lub źle przyrządzone pożywienie tak pod względem duchowym jak i cielesnym sprowadza ubytek sił. W owej sławnej Australji, gdzie pierwsi podróżni same tylko zeschłe szkielety ludzi spotykali, w tej samej właśnie Australji widzieli podróżni w miejscach, gdzie polowanie dostatecznego dostarcza plonu, ludzi rosłych, pięknych i silnie zbudowanych. Również i co do wyboru pożywienia to tylko na pewne twierdzić można, że w krajach zimnych azotowe części w większej ilości bywają spożywane, niż w krajach gorących; Hindu nie mógłby żyć w strefie zimnej nie zmieniwszy sposobu wyżywiania się, tak jak Eskimo nie mógłby w gorącej strefie połykać funtami łój, tran, olej i tłuszcz bez żadnej dla zdrowia szkody. Nie jest również rzeczą udowodnioną, że siła fizyczna, odwaga, bystrość umysłu zależą od spożywania potraw mięsnych, jakto niektórzy niegdyś utrzymywali. Maori Nowej Zelandji, żywiący się przeważnie roślinami, byli przecież najsilniejszym, najodważniejszym i najwaleczniejszym narodem malajskim. Niemniej ważnem jak pożywienie samo jest jego przyrządzenie. Używanie surowego mięsa i tłuszczów, spotykamy prawie wszędzie, jednak jako zwyczaj tylko u Eskimosów. Zresztą powszechnie służy ogień do warzenia, rożen do pieczenia. Jako naczynia do utrzymania napojów służą łuski owoców i orzechów, albo skorupy jaj południowo Afrykańskich strusi. Kafrowie wyplatają koszyki tak gęste, że nawet płyny w nich utrzymać się mogą. Wszakże drewniane naczynia nie najlepiej służyły, jeśli chciano wodę zagotować, lecz i tu poradził sobie dowcip ludzki. Rozpalone kamienie rzucano w kosze napełnione wodą dopóki nie zawrzała. Taki był pierwotny sposób przyrządzania potraw. Jeszcze bardziej prostym jest ten, którego używają Czerwonoskórcy południowej Ameryki. Wykopują bowiem w ziemi dół, pokrywają go skórą zabitego zwierza, wlewają weń wodę i rozgrzewają ją za pomocą rozpalonych kamieni. Odkąd jednakże przez handel poznali naczynia gliniane i kotły, używają dawnego sposobu gotowania mięsa i potraw tylko w czasie wielkich uroczystości. Za górami skalistemi jakoteż na wyspie Vamkovem gotują tamtejsze ludy potrawy w naczyniach drewnianych również zapomocą rozpalonych kamieni, a Koluszowie większe ryby w ten sam sposób gotują w łodziach. Jeszcze w XVIII wieku widział Linne w Finlandji, że mieszkańcy tamtejsi do gotowania rozpalonych kamieni używają. Badania Filora wykazały, że w XVI wieku do gotowania mleka rozpalonych kamieni używano, i że w temże samem stuleciu gotowano na wyspach Hebrydzkich mięso w skórze zwierzęcia. Za czasów Herodota ten sposób przyrządzania potraw powszechny był u mieszkańców stepów dawnej Scytji, którym w braku drzewa służyły kości zwierząt jako materjał opałowy a ich skóra jako naczynie do gotowania. Polinezyjczycy, którzy nie znali naczyń glinianych przyrządzali pożywienie w dołach ziemnych, wyścielając je liśćmi i gałęziami. Następnie wlewali wodę, rzucali mięso i gotowali je za pomocą rozpalonych kamieni. Gdzie i kiedy ludzie wynaleźli naczynia gliniane, tego historycznie dowieść nie można. W jaki sposób przyszedł człowiek na myśl, aby je sobie sporządzić, możemy sobie z wielkiem prawdopodobieństwem, opierając się na licznych spostrzeżeniach wyobrazić. Gondneville żeglarz opowiada, że wylądowawszy na początku XVI wieku w Brazylji widział drewniane naczynia kuchenne, które mieszkańcy w celu zabezpieczenia od ognia wylepiali gliną. Jeśli więc jakimkolwiek sposobem odłączyło się drzewo od glinianej pokrywy, tedy ta ostatnia tworzyła pierwsze naczynie gliniane. Badając starożytne warstaty naczyń glinianych Czerwonoskórców w południowej Ameryce, spostrzegł Karol Rauch wiele na pół ukończonych naczyń t. j. plecione kosze wewnątrz wylepiane gliną. .Naczynia te wypalano w ogniu. W państwach południowych znajdowano dynie w środku wylepione gliną. Sztuka garncarska powstała zatem samodzielnie w Ameryce tak jak i w jakiemś nieznanem pierwotnem siedlisku cywilizacji starożytnego świata. Ztąd rozszerzyła się po całej Azji, Afryce i Europie. Że i Europejczycy w czasach przedhistorycznych plecione kosze wylepiali gliną a następnie wypalali, łatwo możemy poznać z naczyń epoki kamiennej, gdzie oplecenie starano się naśladować wygniatając znaki prętów paznokciami. Skoro bowiem zuchwały jakiś mistrz garncarstwa, począł wypalać naczynia bez koszów, musiał już to w tym celu, aby je dobrze sprzedać, gdyżby nie oplatane zapewne za złe uważano, już też aby nie naruszyć starożytnego, wiekami uświęconego zwyczaju, pręty kosza wyciskać paznokciem. Do rozbierania mięsa na drobne kawałki używały wszystkie ludy niegdyś palców i zębów, a dzicy w tym względzie mają mistrzowską wprawę. Przed nie wielu stuleciami nie znano w północnej Europie widelców.

Pierwowzorem łyżki jest muszla, która dotąd spełnia powinność swoją na wybrzeżach Marokańskich, nad Białym Nilem i gdzieindziej.

Pierwotni mieszkańcy południowej Ameryki ograniczeni jedynie na pożywienie roślinne, podobni do owadów, nie mogli się przy przesiedleniu przyzwyczaić do innego pożywienia i ztąd ulegali chorobom. Zmiana pór roku w strefie umiarkowanej zmuszała człowieka, że się musiał chwytać rozmaitego rodzaju pożywienia. Mógł zatem łatwo i bez wielkiej dla zdrowia szkody przenosić się z jednego miejsca na drugie. Wszakże i dzikie narody ograniczone przeważnie na żywność roślinną, starały się nadać obiadom swoim pewną rozmaitość. I tak na wyspach Przyjacielskich z kilku zaledwie roślin pożywnych wymyślano przeszło 40 potraw.

Jako przyprawy nie wszystkie ludy używają soli; nie solą potraw ani Papuanowie, ani Malajowie, ani też Hotentoci. Nie ma soli kamiennej w Sudanie. Dostaje się ona tam karawanami a Murzyni między Gambią a Nigrem tak chciwie sól połykają, jak dzieci słodycze, dlatego mówią tam o człowieku bogatym, że na obiad sól jada. I w Brazylji nie znano soli; znali ją natomiast Patagończycy, i ta w formie cegiełek służyła w czasie odkrycia, jako moneta obiegowa. Nad rzeką Orinoko przyprawiali mieszkańcy tamtejsi potrawy swoje popiołem z roślin obfitujących w saletrę.

Z tego co wyżej przytoczono, poznać łatwo możemy, że nie tylko dla badacza przyrody, ale i dla historyka i myślącego człowieka ziemia nasza jest otwartą księgą, w której czytać tylko powinien. Jak w kalejdoskopie zmieniają się obrazy, tak na ziemi naszej rozrzucone są ludy na rozmaitym stopniu oświaty zostające, chociaż prawdziwie dzikich, t. j. takich, któreby w pierwotnym stanie się znajdowały, wcale już nie ma. Jak po schodach coraz wyżej w górę wychodzimy, lub na dół schodzimy, tak możemy od najdzikszych narodów postępować aż do najbardziej ucywilizowanych i naocznie widzieć długą drogę, jaką przebywali nasi przodkowie nim po długich wiekach, po tysiącach daremnych częstokroć usiłowaniach, doszli dodzisiejszego stanu. Jeżeli wśród wesołej uczty najrozmaitsze smaczne spożywamy potrawy, nie przychodzi nam nigdy na myśl, że przed wiekami ojcowie nasi w jamach w ziemi wyżłobionych gotowali sobie obiady itd. Podziwiamy przepyszny serwis porcelany sewrskiej. Wyobraźmy sobie tylko ów ogromny przedział wieków, jaki istnieje między owem naczyniem glinianem, wygniatanem paznokciami, a pyszną porcelaną. Każdy przedmiot, jaki posiadamy, ma swój pierwowzór w przeszłości, ma za sobą tysiące rąk, tysiące głów, jakie nad jego udoskonaleniem pracowały. Człowiek nic darmo od natury nie otrzymał: wszystko sobie sam zdobył, a zdobył sobie wśród ustawicznej walki myślą i pracą. Z każdej sukni pysznej, z każdego przedmiotu zbytkowego można odczytać długie dzieje pracy ludzkości.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

XIII.

We wszystkich oknach pierwszo-piętrowego apartamentu, który zajmowali państwo Emilowie Rzewniccy, gorzały światła i poruszały się cienie zabawie oddanych osób.

Zgromadziło się tam pół Warszawy. Gdyby panie ze sfer arystokratycznych nie trzymały się wszystkie tej samej taktyki, jakiej aż do dnia tego trzymała się baronowa z Niną, możnaby było powiedzieć, że tam była cała Warszawa.

W chwili kiedy tam wchodzimy, ażeby rzucić okiem na salony, zegary wieżowe uderzyły już pierwszy kwadrans, zapowiadający zbliżania się godziny duchów — północy.

Zabawa rozpoczęła się w najlepsze. Hrabia

Gustaw był już na swojem stanowisku, kręcąc się koło pięknej pani domu, która, jak ją parę razy miał już sposobność zapewnić, w ślicznym stroju balowym wyglądała prawdziwie czarująco. Baron Narcyz znajdował się także i starał się być zawsze w blizkości hrabiego, jakby był jego sekretarzem czy adjutantem. Czy był o to proszony, czy miał w tem jaki cel ukryty, czy też tylko poprostu jako tytułowany starał się być w blizkości innego tytułowanego, ażeby jeden drugiemu służył niejako za usprawiedliwienie, że się tam znajdowali gdzie tytułowanych więcej nie było — niewiadomo.

Oprócz Narcyza adjutantował hrabiemu Gustawowi dość wiernie feljetonista Wicek. W liczbie obecnych znajdowali się także poeta Orlik i ciężko uczony krytyk pan Nikodem Izydor Cacanowski, którzy obaj przyłączali się chętnie do orszaku hrabiego Gustawa.

Literatura była zatem reprezentowaną dość licznie, niemniej poważną reprezentację miał świat handlowy, było kilku urzędników znaczniejszych, a sfera kupiecka najwięcej dostarczyła reprezentantów.

Że damy promieniały wdziękiem i gustem strojów, zbytecznem byłoby dodawać — rzecz się przecież działa w Warszawie.

Towarzystwo nie rozpoznało się jeszcze dobrze i nie rozpatrzyło w swym składzie, to też nie odzywały się jeszcze pomiędzy młodzieżą głosy proponujące kandydatki na królową balu. W rozmowach, jakie prowadzono, zwracano już jednak uwagę na pewne niezwyczajności, któremi się bal ten odznaczył.

Jedną z nich była obecność Wicka. Feljetonista jakby z urzędu bywał na wszystkich większych zebraniach w Warszawie, na większych, to jest na takich, które mają prawo być opisywanemi w feljetonach. Ale nie zdarzyło się nigdy, żeby na który z balów przyszedł tak wcześnie. Zwykłą godziną jego pojawiania się była pierwsza lub druga po północy, zbyt czas swój cenił i swobodę, żeby się miał zbyt długo krępować balowym strojem i etykietą salonu.

To też panie, które także dawały bale i w których domu bywał feljetonista, zazdrościły pani Emilowej tego faworu.

— Widzi pani — mówiła jedna do drugiej — jak to dorobkowicze zawsze mają szczęście... Na mój bal przyszedł o kwadrans na trzecią, zabawił do wpół do czwartej, i wspomniał o nim jak gdyby z łaski półpięta wiersza... tu go potrafili skaptować.

— *Qu'y a-t-il d'etonnant* —odpowiedziała zagadnięta — pan domu widać zna się na rzeczy i otworzył publicyście *un compte courant*...

— A pani myśli że on mojemu mężowi nic nie winien?

Resztę rozmowy przygłuszyła muzyka.

Drugą niezwyczajnością był udział w tańcach hrabiego Gustawa.

Hrabia tańczył bardzo rzadko, tutaj zdawał się iść w zawody z froterami. Żadnego tańca nie pominął ale... żeby też choć dla formy, choć dla zabezpieczenia się od szeptów i od uwag złośliwych wybrał sobie inną tancerkę... nie! tańczył ciągle z panią Natalją, jakby jej wierność danserską aż do poranku ślubował!

Nie mogło to nie zwrócić uwagi, ale niestety najpóźniej zwróciło uwagę tej, którą najpierwej uderzyć było powinno, uwagę samej ofiary tego natrętnego upodobania.

Natalja zbyt mało jeszcze znała drobne odcienia towarzyskiego życia, zanadto pochlebiały jej względy jakich doznawała od hrabiego i zabardzo... czemuż nie mamy powiedzieć otwarcie — zabardzo lubiła tańczyć.

Nie spostrzegała się, że sama wpada w łapkę, której zresztą tem mniej wystrzegać się mogła, że jej nie przypuszczała wcale.

Zaczęły się szepty. Przypomniano sobie historję o kwiatku, za który hrabia na ręce pięknej bankierowej złożył tak hojną ofiarę na rzecz nędzy.

Grunt był przygotowany, hrabia Gustaw brał się do swego dzieła zręcznie i skutecznie.

Dwóch tych jednak niezwyczajności nie było dosyć. Miały jeszcze inne bal ten uświetnić.

Głuchy szmer w salonie, nagłe skierowanie się wszystkich oczu do drzwi wchodowych, oznajmiło przybycie kogoś niezwykłego.

Baronówna Nina Pogromska w towarzystwie matki, prowadzona przez Narcyza, który jakoś w danej chwili znalazł się na pogotowiu, ukazała się w całym blasku piękności.

—To będzie królowa dzisiejszego balu— powtarzała młodzież coraz głośniej.

Baron nie towarzyszył swojej żonie i córce. Kto wie czy nawet wiedział o ich bytności na balu, a jeśli wiedział, kto wie czy tę bytność pochwalał. Może sama jego nieobecność miała służyć za dowód, że tego kroku nie aprobował.

Nikt z gości nie spodziewał się tych pań, nie spodziewali się ich sami gospodarstwo, nic dziwnego, że ich przybycie na chwilę przerwało zabawę.

Nim bal przyszedł na nowo do porządku, nastąpiła nowa dywersja w takim samym prawie rodzaju, tylko że tym razem wchodzącymi byli mężczyzni.

W salonie pani Emilowej ukazał się majestatyczny potentat pieniężnego świata warszawskiego, bankier M. S. Floh i wspólka, reprezentujący wszędzie i zawsze całą wspólkę, a towarzyszem jego nie był nikt inny tylko Jego Wysokość lord Philibeg we własnej sztywnej i chudej osobie.

Wielu gości słyszało że mylord będzie na balu, uważano to jednak powszechnie za plotkę, jedna tylko Nina była pewną, że się spotka ze swym albjońskim wielbicielem... Znała go najlepiej ze wszystkich i wiedziała o tem, że jedną z głównych zalet jego była słowność, prawdziwie dżentelmeńska, skoro więc powiedział że będzie, to przybyć musiał niezawodnie.

Milord chciał widocznie okazać, że przybył dla niej, bo nim go jeszcze bankier M. S. Floh i wspólka zdołał przedstawić gospodyni i gospodarzowi domu, już ją dojrzał wzrokiem bystrym, bo nawykłym do przebijania się przez mgłę londyńską, już się zatrzymał przed nią i wypowiedział kilka zgłosek, których nikt podobno z otaczających ani zrozumieć ani powtórzyćby nie potrafił, które jednakże rozpromieniły i nowym urokiem oblały piękną twarz baronówny Pogromskiej.

Następnie dopiero w towarzystwie bankiera M. S. Floh i wspólka poszedł się przed stawić pani Natalji.

Nie będziemy mu się przypatrywali podczas tej etykietalnej ceremonji, lecz zajmiemy się naszym bohaterem.

Był on jak na żarzących się węglach. Przechodząc z salonu do salonu, rozmawiał z gośćmi, którzy zbliżali się do niego i sami zaczynali rozmowę, sam jednak nie zagadywał do nikogo i gdy go kto zaczepił, starał się jak najprędzej przerwać pogadankę, podczas której wzrok jego mimowolnie co chwila zwracał się ku drzwiom wchodowym.

Widocznie oczekiwał na kogoś. Ułożył sobie naprzód z kim i w jaki sposób będzie rozmawiał, ażeby ta rozmowa doprowadziła do chwilowego zaopatrzenia jego kasy brzęczącą monetą lub banknotami, których mu do sumy potrzebnej na zapłacenie wekslu brakowało.

W języku technicznym nazywa się to zagięciem na kogoś parolu. Otóż Emil zagiął sobie kilka takich paroli. Ale los się sprzysiągł przeciwko niemu. Ci na których parole pozaginał, jakby zaczarowani, jakby przestrzeżeni przez złośliwego człowieka czy przez swego opiekuńczego ducha, nie pokazywali się we drzwiach wchodowych salonu.

Zamiast nich ukazała się Nina z matką.

Widok ich przejął Emila jakąś przesądną trwogą i pomięszał jeszcze bardziej. Niespodzianka, którą mu swą bytnością zrobiły, wróżyła coś niezwykłego, a że piorun nie jest także rzeczą zwyczajną, więc drogą kojarzenia się wyobrażeń myślał o piorunie i lękał się piorunu, który mógł spaść na jego głowę.

Naturalnie pospieszył zaraz podziękować za zaszczyt jaki go spotkał od pięknej baronówny i baronowej.

Nina na jego powitanie odpowiedziała kilkoma tylko słowy:

— *Mais vous avez une femme charmante*... patrz pan, jaka jest piękna teraz... w objęciach hrabiego Gustawa!

Słowa jej po raz pierwszy dopiero uderzyły skłopotanego finansistę, który na chwilę zapomniał o tem, że jest zakochanym i zazdrosnym małżonkiem, uderzyły go po raz pierwszy, choć je już kilka razy słyszał w ciągu tego wieczora. Prawie każdy z tych, którzy z nim mówili, zaczynał od pochwalenia wdzięków jego żony tańczącej z hrabią Gustawem, Emil spoglądał machinalnie, potem wzrok zwracał ku drzwiom, nic w tem jednak niezwykłego nie widział.

Tym razem spojrzał także. Natalja wsparta na ramieniu bohatera salonów, z którym ją łączyła jakaś nieznana choć wiadoma Emilowi tajemnica, w rozkosznem zaniedbaniu oddawała się walcowi. Z ust jej otwartych lekko zdawały się wybiegać słowa, które tylko ucho hrabiego mogło pochwycić.

Emilowi krew nabiegła do źrenić... patrzył, ale widok trwał tylko chwilę i wnet inne pary tańczących zasłoniły przed nim Natalję i hrabiego Gustawa.

Potarł się po czole i odszedł od Niny. Po chwili znowu spojrzał na drzwi wchodowe, a nie zobaczywszy nikogo znów wzrokiem szukał Natalji.

Spostrzegł ją teraz już samą i poszedł do niej.

— Jakże się bawisz? — zapytał.

— Doskonale... a ty?...

Naiwna pani Emilowa sądziła jeszcze, że mąż kiedykolwiek na balu swojej żony bawić się może.

Emil wzruszył tylko ramionami.

— Coś hrabia bardzo się kręci koło ciebie — zauważył półgłosem.

— I cóż w tem złego? — odpowiedziała chłodząc się wachlarzem.

Biedny małżonek nie potrafił na razie powiedzieć jej w krótkich wyrazach co w tem jest złego, a tłum rozdzielił ich na chwilę.

Tymczasem hrabia odszedłszy od swej tancerki spotkał się z Niną.

— *Et comment va, mon comte* — zagadnęła.

— *Votre comte* — odpowiedział jej dwuznacznikiem wskazując wzrokiem w stronę Natalji — *votre compte sera bientot réglé... je gagne du terrain...*

— Przyszłam aby widzieć naocznie pańskie zwycięztwo — odparła Nina.

— Będę się starał, aby fatyga pani nie była daremną.

— *Votre siége dure assez... cela commençait à m'ennujer...*

— *Dame! mais la forteresse!... c'est un Gibraltar des vertus bourgeoises!*

Nina raczyła się uśmiechnąć.

Dalszą rozmowę przerwało opisane powyżej ukazanie się jego wysokości lorda Philibega w towarzystwie bankiera M. S. Floh i wspólka.

Przyjście bankiera rozpogodziło trochę chmurną twarz Emila, tembardziej że bankier okazywał się na niego wyraźnie łaskawym, skoro mu przyprowadził lorda.

Przedstawienie pana Anglika odbyło się z pewną ceremonją, pozostało tylko upolować chwilę stosowną do nawiązania rozmowy z bankierem.

Była to prawie ostatnia deska ocalenia, trzeba przyznać Emilowi, że się jej pilnował, i chwycił gdy tylko mógł dosięgnąć.

— Czy to prawda panie — zagadnął bankiera w salonie gry — że mój weksel jest cedowany panu?

Wiedział o tem wybornie, lecz zapytanie miało służyć za wstęp do rozmowy.

—Bah! — odrzekł M. S. Floh i wspólka — skoro termin dopiero za trzy dni, to tak jakby nie był cedowanym.

— To też dla tego że termin za trzy dni, chciałem z panem dobrodziejem ..

— Kochany panie — przerwał potentat finansowy poważnie — wolałbym nie mówić o interesach na balu; u mnie kiedy się bawić, to się bawić. Możemy się zobaczyć jutro.

Całą zabawę bankiera stanowiło to, że chodził z salonu do salonu i ziewał, co mu jako potentatowi pieniężnemu było wolno czynić bez żenady — skoro jednak nie chciał przerywać sobie tej zabawy, obowiązkiem Emila jako gospodarza było nie pozbawiać go tej przyjemności.

Umilkł.

Niechęć okazana przez bankiera do rozmawiania o tym przedmiocie, nie była dobrą wróżbą. *La planche du salut* usuwała się z rąk Emila.

Było już po północy... inni na których liczył nie przybywali i mieli nie przybyć zapewne

Emil tracił głowę.

Przeszedł przez salon i ujrzał żonę zajętą w przerwie kadryla żywą rozmową z hrabią Gustawem.

— Znowu on! — powtórzył zaciskając zęby.

Ktoś go zaczepił. Jeden z tych, którzy jeszcze nie zwracali jego uwagi na piękność żony i na towarzyszącego jej prawie nieodstępnie hrabiego. Naturalnie od tego zaczął.

Emil potrzebował całej mocy nad sobą, żeby gościowi swemu nie odpowiedzieć opryskliwie.

Uwolnił go od konieczności odpowiadania jego wysokość lord Philibeg w swojej własnej milordowskiej osobie. Stanął przed nim i spytał:

— *Do yon speak english, sir!*

— *Yes, mylord* — odpowiedział Rzewnicki.

Milord oświadczył że chce mu powiedzieć kilka słów na osobności. Emil poprowadził dostojnego gościa do jednego z odleglejszych pokoi.

Usiedli na kanapie. Rozmowa naturalnie prowadzoną była w języku jedynie zrozumiałym dla milorda.

— Panie, ja chcę zostać długo w Warszawie — raczył rzec jego wysokość.

— Warszawa będzie wdzięczną milordowi za ten zaszczyt.

Albjończyk potwierdził skinieniem głowy. Nastąpiła chwila milczenia.

— Pan jesteś bankierem? — zaczął znów Anglik.

— Do usług pańskich, milordzie.

— Czy w tym kraju bankiery robią takie interesa jak w Anglji?

— Z małą różnicą.

— Z jaką różnicą?...

— Nie obracają tyloma miljonami jak angielscy.

— No, to naturalne.

Nastąpiło znowu milczenie, tak długie, że Emilowi wydało się iż interes milorda już załatwiony. Potrzebował go się spytać o co się spytał, a teraz wie, więc milczy.

Ale Albjończyk zaczął mówić znowu.

— Pan przyjmuje kapitały na lokację?

— Tak jest, milordzie.

—I otwierasz pan rachunek bieżący tym co je składają?

— Tak jest, milordzie.

— No, to ja ulokuję u pana mój kapitał przeznaczony na czas pobytu w Warszawie.

— To jest sumę?...

— Dziesięć tysięcy funtów.

W słowach tych było dla Emila ocalenie. Omal nie podskoczył z radości...

— Dziękuję milordowi za zaszczyt i zaufanie...

— Od tego bank jest bankiem, żeby miał zaufanie — odrzekł sentencjonalnie lord.

I znowu nastąpiło milczenie, które znów przerwał Anglik.

— *Times is money* — rzekł — kończmy interes.

— Kończmy, milordzie, jestem gotów.

— Pan przyjmujesz odemnie dziesięć tysięcy funtów?

— Przyjmuję, milordzie.

— I otwierasz mi rachunek bieżący?

— Otwieram.

— Do wysokości tysiąca funtów można podnosić na każde żądanie bez zawiadomienia?

— Zgadzam się...

— A zatem proszę o tysiąc funtów... zaraz...

Emil wyraźnie zdziwionym wzrokiem spojrzał na lorda.

—Pieniędzy naturalnie z sobą nie mam— rzekł Anglik — przyjdą najdalej za trzy dni tymczasem potrzebuję tej bagateli.

Mgnienie oka tylko namyślał się Emil, ale i tego już było za wiele dla Anglika.

Podniósł się dumnie i chciał odchodzić.

— Ależ milordzie, pójdę tylko do kasy i w tej chwili niosę pieniądze.

— *I thank your.*

— Ani chwili się nie wahałem.

— *I thank your.*

I sztywny Anglik wyszedł dumnie z pokoju.

Emil zostawszy sam załamał ręce:

— Jestem zgubiony! — rzekł do siebie— z takiej świetnej, jedynej okazji nie umiałem skorzystać — jestem zgubiony!... dziesięć tysięcy przyszłyby jeszcze na czas!

Długą chwilę stał na miejscu i ręką pocierał czoło... nie widział i nie słyszał co się działo dokoło niego. Żona jego przeszła przez ten sam pokój pod rękę z hrabią Gustawem — nie spostrzegł ich.

Z zadumy wyrwało go dopiero ukazanie się w progu lorda Philibega.

— Pan już powrócił z kasy? — rzekł szlachetny lord zbliżając się do niego.

— Nie jeszcze — odrzekł Emil zmieszany — ale... za chwilę... wybacz milordzie.

— Czekam — dodał milord dobywając zegarka — pięć minut. *Times is money.*

Emil pobiegł.

W pokoju, przez który przechodzić musiał, oświeconym jedną tylko lampą, siedział na kozetce hrabia z Natalją.

Nie widział ich. (C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XVII.

Czem był we Francji czas trwania komitetu narodowego, jakie uczucia władły miejscową ludnością w obec prześladowań rządu, trudno by dzisiaj odmalować. Widzieliśmy już kilka wymownych objawów współczucia. Nie powiem by temu przyczyną był sam jeden tylko komitet narodowy. Nie, podstawę współczuciu dali *Lafayette, Lamarque* i cała liga republikanów francuskich, którym nasze powstanie było zorzą rzeczypospolitej na lądzie stałym. To też ze wszystkich Francuzów najbardziej sprzyjali Polakom i Polsce republikanie. Jednakże urok bohaterstwa zachwycał wszystkich po listopadowem powstaniu, bo możność walki

świętej z najpotężniejszym despotą osłupiała wszystkich. *Podczaszyński* 6 marca 1832 pisze: „Niemcy z grobów powstają. Co żyje, idzie cześć oddawać Polakom. Ich przyjaźń jest raczej dla nas szałem jak uczczeniem. Dziwy tu z wygnańcami wyrabiają. Ameryka północna i południowa szle haracze swe wygnańcom. I wyspy na oceanie Spokojnym nie zapominają nawet o nich i zewsząd brzmi chór uwielbienia... *Rząd francuski jest naszym wyraźnym nieprzyjacielem*, ale my mamy alianta naszego w całym narodzie. Żadna niesprawiedliwość go tak nie oburza jak barbarzyńska zniewaga najniewinniejszych i najpopularniejszych uczuć jego dla Polski. Cieszyć się więc trzeba raczej niż smucić z prześladowań Polaków we Francji."*) Czytając opisy owacji okazywanych w większej części zakładów dla Polaków (pokąd ci nie spowszednieli) prawie trudno wierzyć. To też ilekroć rząd zamierzał jawnie prześladować Polaków, tyle razy opinja powszechna stanowczo kładła swe veto. Jeszcze w lipcu rząd chciał wypędzić Karola *Sztolcmana*, Kamila *Mochnackiego*, *Lelewela*, wojewodę Ant *Ostrowskiego* i innych. Ostrowski idzie do *Montaliveta*, objawia, że nie usłucha rozkazu, a ostrem swem wystąpieniem sprzeciwia się wykonaniu rozkazu, grożąc tą opinją. I minister ulega i nikt nie wypędzony na ten raz. Podobnież dla tego samego powodu spełzły zamiary wywiezienia Polaków do legji cudzoziemskich, chęć pozbycia się ich jakimkolwiek sposobem i. t. p.

Czy z Lotaryngji czy z Metz nadchodziły zawsze najbardziej przyjaźne adresa. Komitet dam z Metz pisał: „Wyście podnieśli bardzo wysoko dzieło, które nie chce liczyć długu zaciągnionego przez Francję względem Polski. Jeżeli składamy się w słabej części dla ulżenia szlachetnym nieszczęśliwcom, te podziękowania waszych dostojnych współrodaków i szczęście jakie czułyśmy, osładzając ich cierpienia, czyż nie są dla nas najdroższą nagrodą?" Tam znowu z Alzacji komitet wymawia, że dziennikarstwo stolicy zaniechało sprawę narodu, a opozycja prawie zapomniała o Polsce.

Różne adresa kilkudziesięciu komitetów ciągle ogłaszane wpływały na podtrzymanie tego usposobienia. A komitet narodowy grudniowy jakby te usposobienia utwierdzał: „Obywatele! przeświadczeni jesteście, i w naszem narodowem tułactwie dowiedliście, że dzieło ludzkości kojarzy się z interesem polityki."**) Lub***) „Na waszej ziemi zbiegiem wypadków umocowywała się wzajemna obu ludów sympatja. U was naostatek toczył się bój za wolność Europy. Wy przeto umieliście ocenić co Polska dla swej wolności zdziałała i wyście poklaskiwali naszym zwycięstwom; a kiedy zasłona z piersi polskich przez zdradę upadła, z krzykiem rozpaczy pierwsiście ubolewali nad skutkami jakie zachód oczekują...." „Cześć i sława gwardji narodowej Alzackiej, która tak uroczyście przemawia w sprawie naszych rodaków. Dziś naostatek, kiedy druk stolicy skąpi w słowach za Polską.... druk alzacki nadewszystko we dwóch mówiący językach i najpowszechniejszy, zastąpi milczenie stolicy, milczenie, które się przyczynia do zmniejszenia zainteresowania Europy w naszej świętej sprawie, w sprawie wolności i cywilizacji."****) To znowu prowincjonalne francusko-polskie komitety przemawiają z powodu wypędzenia z Awinionu i t. p.

Stosunki ustawiczne kom. nar. z komitetami francusko-polskimi nie mogły pozostać bez wpływu na prowincje, nie mogły nie wyrobić pewnego stałego poszanowania dla komitetu i uznanie jego potrzeby. To też jak tylko ministerjum rozpędziło komitet, członkowie jego odwołali się w pismach do całego narodu francuskiego, narzekając na gwałty i bezprawie.

Wszyscy członkowie komitetu (Lelewel, Chodźko, Przeciszewski, Hłuszniewicz, Rykaczewski i podskarbi Wodziński) wydali 31 grudnia odezwę: „Francuzi! przejęci ważnością naszego powołania, chwytaliśmy wszelkie okoliczności, dla wynurzenia żywej i głębokiej wdzięczności za tylokrotne dowody współczucia, jakiej doznali Polacy od narodu francuskiego.

„Podpisani, składający komitet narodowy polski, zmuszeni jesteśmy dzisaj opuścić Paryż, korzystając jednak z chwili, abyśmy śród tak gwałtownych wypadków, mogli jeszcze ponowić Wam, oświadczenie tychże przychylnych uczuć. Nie wchodzimy bynajmniej w pobudki, dla których ministerjum francuskie dopuściło się podobnego kroku. Nie zgłębiając ich widzieliśmy się zmuszeni uledz przemocy władz. Możemyż się więc odwoływać do prawa sprawiedliwości, gdy istnieje prawo 21 kwietnia 1832, a które odejmuje cudzoziemcom i tułaczom wszelkie sposoby prawnej nawet obrony?"

Zaledwie ta odezwa rozeszła się po prowincji, a już 18 stycznia 1833 mieszkańcy *Rouen* napisali protestację: „Z oburzeniem, powiadają oni, w dziennikach stolicy wyczytaliśmy, że rząd francuski, na wezwanie ambasadora rossyjskiego, gwałtownie rozpędził członków komitetu nar. pol. ustanowionego 8 grudnia 1831 w interesie narodowości bohaterskiej Polski działającego. Niezaspokojony powolnością od całej Francji naganioną, a przez słabość ministerjum naszego osiągnioną, *Pozzo di Borgo* wymagał, aby członkowie jego byli z Paryża wyprawieni. W cóż się obróciła rewolucja lipcowa? nic że już nie pozostaje z naszego poświęcenia się? krew męczenników wolności, co zrumieniła barykady, jestże już dla nas niczem? a piękna karta dziejów, zostałaż już wydartą? Czyliż stolica świata cywilizowanego, która w ciągu dni trzech wywróciła najdawniejszą dynastję, która głosząc wolność ludów, królów świętego przymierza w ich pałacach trwogą przeraziła, czyliż we dwa lata potem już nie może zapewnić gościnności najszczerszym przyjaciołom? Jestże podobnem, aby Francja bez oporu ścierpiała, aby akt tyle niesprawiedliwy był niewolniczo wykonany przez ministów woli despoty moskiewskiego uległych? Jeżeli obywatele Paryża pierwsi wydali okrzyk wolności, odpowiedzieliśmy niezwłocznie na ich wezwanie: spodziewamy się, że równie odpowiedzą naszemu, protestowaniem się przeciw czynowi tak nas poniżającemu, jak okrutnemu dla naszych towarzyszy broni. *Bez obrazy żywej skłonności Francuzów, bez podrażnienia narodowości, ministerjum mogłoż dopuścić aby policja rossyjska dała się uczuć w pałacach Tuillerie?*" I odezwę tę pełną wyrazu tak dalej zakończają Ruańczycy: „Reprezentanci narodu polskiego czyliż się zrzekli swej władzy na rzecz nieprzyjaciół? Nieprotestowaliż przeciw zaborom Rossji, przeciw jej aktom politycznym..... *Polacy są więc w ciągłej wojnie z despotą północnym*, a jeśli w tej walce nie mogą dziś użyć innej broni nad proklamacje, nie pozbawiajmyż ich tego ostatniego środka!... *Niech każdy Francuz, jakkolwiek ich różne odcienia opinji dzielą*, jednoczy się do tej zacnej sprawy i *spieszy podpisywać niniejszą protestację*. Oświadczmy, że reprezentanci emigracji polskiej, zasłużyli się wolności, oddajmy cześć iść patrjotyzmowi, w nadziei, że rząd francuski cofnie niesprawiedliwe swe rozporządzenie i przyzwie nazad członków komitetu Polskiego Lelewela, Chodźkę, Przeciszewskiego, Hłuszniewicza, Rykaczewskiego i Wodzińskiego."

Kom. Narod. rozproszony, zaledwie 25 lutego 1833 odpowiedział na to wezwanie. Między innemi pisze on: „Wspomnienia dawnych stosunków, dawne koleżeństwo broni, wspólny interes, pewność że słońce lipcowe wam przyświeca i że zasady opiekuńcze wolności w owym czasie ogłoszone, *we wszechwładztwie ludu silnie stoją*; skłoniło nas, powtarzaliśmy to powielekroć, spieszyć do was, a nie ma Francuza, coby nam to za złe poczytał. *Przynieśliśmy z sobą nieskończoną wojnę i pociągnęliśmy za sobą pościg nieprzyjaciela.* Walczyliśmy z nim tą bronią, jaka nam pozostawała pod strażą wolności druku na waszej wolnej ziemi o narodowość naszą uroczyście zaręczoną.... Wiecie co cierpieli ziomkowie nasi w Kronsztadt, że tyranowi przysiądz nie chcieli; znacie los tych co byli w Elblągu i Fischau, i tych co są zaprzężeni do prac fortecznych w Gdańsku, Grudziądzu, Piławie. Pozamykani są nasi po więzieniach Berna i Ołomuńca. Nic nie wyrówna ich poświęceniu się, ich wytrwałości i nieuniknionej mocy. Oto są męczennicy naszej wolności, *nie przestają walczyć z nieprzyjacielem*, znoszą wszelkie cierpienia i prześladowania aniżeli by mieli zaprzeć się swych zasad i przeświadczenia... Obywatele!.... znaliśmy poszanowanie dla waszego rządu, boście jemu władzę poruczyli, a my u was gościnę znaleźli.... *Lękacie się niebezpiecznych koncessji. Dbały o niepodległość, uważa je za skałę.* Despotyzm północy, który nas ucisnął, nie ogranicza swych knowań przeciw wolności. Każdy w niepodległości zamiłowany, jest celem jego niechęci. Czyli się na ziemiach jemu podległych sadowi, czyli inne kraje zamieszkuje, czyli na tronie czyli w ubogiej chacie pracowite życie wiedzie *i despotyzm zarówno go nienawidzi i ściga go póki niedosięże.*"

Zatem, opinja powszechna Francji jak i komitet jawnie kładły Moskwę i despotyzm za przyczynę prześladowania; a milczeniem swojem ministerstwo potwierdzało oddawna znaną zasadę, że wszelkich narodów dążenia do despotyzmu razem się wspierają.

Jednakże to prześladowanie rządu wywarło wpływ stanowczy na przebudzenie życia publicznego śród wychodźtwa. W obec napadu obcych w każdym odezwała się ta żyłka solidarności, która prowadzi do ujęcia się za prześladowanym. Dla tego to zaraz po rozpędzeniu komitetu liczne zakłady polskie po prowincjach zaczęły nadsyłać swe ubolewania. Rozbudzające się życie polityczne już oparło się nie na uległości różnym powagom a na najzupełniejszem pojęciu zasad społecznych.

W walce z komitetem narodowym stronnictwo Dwernickiego napadało pokątnie na Lelewela, Chodźkę i innych i mało co mówiło jawnie. Lecz po rozpędzeniu komitetu okazało się dowodnie, że jeżeli komu to przynajmniej Moskalom komitet nar. stał kością w gardle; inaczej mówiąc — miał on pewną doniosłość. Zbiór dokumentów i odpisów z nich u L. Chodźki może jawno przedstawić całą walkę komitetu październikowego (czyli Dwernickiego), targowiczanów sejmowych i Bema — dokąd kom. nar. istniał, i później ruch po prowincjach — gdy on został rozpędzony. Pozwalam sobie porobić niektóre wy-

*) Dzieła Maur. Moch. str. 67. T. I.

**) Do obywateli Lotaryngji 14 kwietnia 1832.

***) Do ob. Alzacji 18 kwietnia 1832.

****) Wzmianka tu o *Courrier de Bas Rhin*, który dotąd wychodzi w dwóch językach: niemieckim i francuskim.

jątki z listów i pism zakładów. One wykazują, że chociaż delegaci, stanowiąc nowy komitet działali niby w imieniu zakładów, twierdząc „jakoby nowa władza była wyborem wszechwładztwa ludu i wotowania rzeczywistego," jednak w rzeczywistości wtedy tak potężnie tkwiła w umysłach powaga imion, że oglądano się bardziej na jenerałów, posłów i ich rady przyjmowano na słowo bez żadnej oceny. Działanie delegowanych dowodzi tylko, że już w pierwszym roku wychodźtwa zasada głosowania powszechnego zaczęła przenikać wszystkich, nawet nie umiejących z niej korzystać i że zasłaniając się nią chciano władzy nad emigracją. A w miarę przebudzania się pojęć o powszechnem głosowaniu, uwidoczniało się coraz bardziej, że przy wyborze komitetu październikowego podobnego głosowania nie było wcale.

Zakład Polaków w *Le Puy* z 27 stycznia 1833 pisze: „Odezwy kom. nar. Em. p. pod prezydencją J. Dwernickiego wielkie w zakładzie naszym uczyniły wrażenie. Z boleścią spostrzegliśmy iż nieszczęśliwy zbieg okoliczności, zamienił instytucję, która tak piękne wróżyła nam nadzieje, w ciało słabe, bez ducha i bez życia, z różnorodnych żywiołów wzajemnie się niszczących złożone.... Szukaliśmy tych nieszczęśliwych skutków źródła. Dojrzała rozwaga okazała nam, iż jak przyczyną złego były nieprawne drogi do utworzenia komitetu pod prezydencją J. Dwernickiego użyte, tak nie inaczej znosić je potrafim, jak tylko nową zupełnie i tamtej wprost przeciwną postępując drogą.... Dziś doświadczeniem nauczeni dziwimy się, jak można było dowolności pełnomocników, powierzać to, co sami tak łatwo uskutecznić mogliśmy. Dobra wiara i zaufanie po tylekroć nas zdradzające i tym jeszcze razem smutną nam naukę zostawiły. Dawny komitet, na którego czele stał jeszcze *Lelewel*, ostrzegł nas wprawdzie o niebezpieczeństwie, i otworzył oczy tym, którzy przejrzeć chcieli: ale na nieszczęście było to już za późno. Emigracja widziała się w smutnej konieczności, albo odrzucić całe dzieło, i tym sposobem odwlec ustanowienie instytucji tak potrzebnej w czasie obrad Izb francuskich, albo przyjąć ją ze wszystkiemi nielegalnościami i błędami"...

Jeżeli rozpędzenie komitetu zjednywało mu współczucie rodaków i uznanie dla jego prac, o tyle też podniecało napady na powstały komitet październikowy. To też zakład w *Puy* (haute Loire) w przedstawieniu, na którem podpisani byli J. N. *Młodecki* przewodniczący i pisarz *Heltman* Wiktor, co później zajął tak widną kartę w dziejach wychodźtwa, powiada: „Kom. Em. p. nie miał zaufania w sobie, nie wzbudzał go w innych nieczynny był i słaby, jako każde dzieło na fałszywych oparte zasadach lub z nieczystego pochodzące źródła. Zamiast jedności.... powstały protestacje... Nieupłynęłyż już dwa miesiące jak Izby francuskie obradują, a komitet, organ emigracji całej i sam milczy i milczeć jej każe."

Przyczyną tego oburzenia było odtrącenie adresu do izb wystosowanego przez ogół paryski. Zakład w le Puy poparł go swymi podpisami, jednakże z powodu, że do redakcji jego wchodzili L. *Chodźko* i *Lelewel*, Dwernicki i komitet jego uznali za odpowiedne odesłać podpisy napowrót do zakładu i głos podobny osądzili za niewczesny.

Z tem większem współczuciem wspomniano wtedy o komitecie narodowym. I rada, nie poprzestając na powyższem piśmie, podała rodzaj adresu do prześladowanych: „Obywatele! wiadomość waszego wygnania równie w nas jak we wszystkich poczciwych umysłach, bolesne wzbudziła uczucie. Te kilka wyrazów niech was zapewnią o szacunku, jaki wasza gorliwość i poświęcenie się wznieciły w sercach naszych. Wasza wiara w świętość sprawy polskiej, nie dozwoli wam na chwilę spuścić z oczu usiłowań, które dotąd z taką popieraliście gorliwością.... *Szlachetnych dusz najlepszą podnietą jest własne ich przekonanie.* Naszym tylko celem jest zapewnić Was, że umiemy cenić wasze prace; że z pogardą odrzucamy nikczemne potwarze, któremi osobiście, ludzie wasz charakter oczernić usiłują." A podpisani na tem J. A. *Kalenicz* prezydujący i członkowie Józef *Wysocki* porucznik, późniejszy jenerał, i *Czerski* Józef, podchorąży. (C. d. n.)

Z przechadzki.

I.

Czy ty pamiętasz przechadzkę?
Na szczycie staliśmy skały;
U stóp jej alabastrowych
Wzruszone fale spływały.

Widziałem lasy nad sobą,
Pod sobą kwietną dolinę —
W mroczej oddali dumały
Okryte mgłą góry sine.

Myślałem, patrząc w zachwycie,
Że tu wypełni się może
Twe przemienienie, jak ongi
Pańskie — na wzniosłym Taborze.

I rzekłem: „Niech tu budowa
Trojga przybytków zaświeci:
Dla ciebie jeden — mnie drugi
Dla bóstwa miłości trzeci". —

II.

Czy ty pamiętasz przechadzkę?
Ja jej zapomnieć nie mogę!
Lipy szumiały nad nami
Księżyc rozświecał nam drogę.

Wietrzyk swawolny po trawkach
Bujał chyżemi poloty,
Niosąc dla róży na skrzydłach,
Tęskniących gwiazd promień złoty.

Gdybym to ja był gwiazdeczką,
Gdybyżeś była ty różą! —
Tożby zefirek skrzydlaty
Tęsknoty musiał nieść dużo.

St. ros.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXIX.

Fortel doktora.

Gdyby pani Tranquillina nie nakłoniła dwóch starych przyjaciół do odwrotu, byliby Bóg wie jak długo jeszcze pozostali u Federica, który wprawdzie był im nieskończenie wdzięcznym za ten nieomylny dowód ich przyjaźni, niemniej jednak przecież z przyjemnością oddałby tydzień przyszłego życia, by módz choć jedną chwilkę pozostać sam na sam z Gabriellą.

Przyjaźń niechętnie ustępuje miejsca miłości; Gioachino i Romolo prawdopodobnie czuli się powołanymi przez całe życie rozciągać swą opiekę nad zakochanymi i umacniać wzajemną w nich miłość.

Nakoniec wyszli wraz z resztą użyć, jak mówili, świeżego porannego powietrza, gdy tymczasem młodzi pozostali w przedsionku willi.

Mieli sobie tak nieskończenie wiele do powiedzenia! Patrzali wzajem na siebie długo, i długo stali tak oko w oko w milczącym dłoni uścisku, potem Gabriellę oblał gorący rumieniec i łzy potoczyły się po jej twarzy.

Federico zrozumiał te łzy. Tak pozostali dość długo, zasłuchani, zda się, jedno w uderzeniach serca drugiego, aż wreszcie ze dworu dobiegł ich wesoły głos Gioachina:

— Federico!

Zakochani zlękli się i słuchali. Wkrótce potem potężny bas doktora zawtórował:

— Gabriello! — Potem nastała cisza i echo oddalającego się i cichnącego w dali śmiechu nie przerywało już szczęsnej ciszy, tej godziny mierzonej tylko biciem dwóch serc szczęśliwych.

Im zdało się, że się zbudzili z jakiegoś długiego, męczącego snu do nowego, jasnego życia; szeptali sobie wzajem urywane jakieś słowa, zrozumiałe tylko ich duszom, spływającym w jeden akord niezmierzonej harmonji; nakoniec on przemówił:

— Popatrz mi w oczy... ot tak... Czy widzisz, czy widzisz teraz?... Od pierwszej chwili gdym cię zobaczył myśl moja i moje uczucie całe należało do ciebie, kochałem cię tak samo zawsze, wieszże teraz?

Gabriellę przebiegł dreszcz gorący i szeptała z tajemnem życzeniem by jej kłam zadano:

— To nie prawda!

— A przecież to prawda jednak! — utrzymywał i drżący wzruszeniem głos jego dźwięczał jeszcze łagodniejszemi, jeszcze słodszemi tony; czy pamiętasz ów dzień, gdym w bazarze na dobroczynność kupował twoje pocałunki, albo ów inny gdziem udawał obojętnego i rozstałem się z tobą nie podawszy ci na pożegnanie ręki? Widzisz i wówczas już cię kochałem: każde z surowych, zimnych słów twoich pozostało mi w sercu niezapomnianą melodją, każde z nieprzyjaznych twych spojrzeń widzę jeszcze i zawsze widzieć będę. A ty?...

— Ja znieść cię nie mogłam, nienawidziłam cię — odpowiedziała Gabriella — teraz jestem twoją, ukarz mnie za to.

— Jesteś moją! — powtórzył młody człowiek z zapałem — moją na zawsze! Powtórz za mną: „jestem twoją na całe życie, twoją na wieczność!"

— Jestem twoją na całe życie, twoją na wieczność — powtórzyła Gabriella i zamyśloną główkę schyliła na ramię narzeczonego.

— Federico! — rozległ się nagle znowu głos Gioachina.— Federico! przyjdź i zobacz kto tu jest!

Narzeczeni raz jeszcze objęli się serdecznem spojrzeniem, i milcząco ręka w rękę zeszli po schodach.

— Zgadnij kto tu jest? — rzekł Gioachino

Gabriella próbowała w obec rodziców i przyjaciół ukazać się z uśmiechnioną twarzą, ale widocznem było, że jakaś myśl smutna mąci jej szczęście.

Wiecznie wesoły Gioachino stał obok swego przyjaciela Romola, a po za plecami obu ktoś schylony starał się ukryć.

— Enea! — zawołał szczęśliwy Federico, z lekka rozsunął obu przyjaciół na stronę i przycisnął szlachetnego inżyniera do piersi.

— Pan Enea! — zawołała równocześnie Gabriella wzruszona.

— Ja to jestem, ja najrzeczywiściej — wymówił inżynier — pewnieście się mnie nie spodziewali, myśleliście może, żem już w Kalkucie.

— Nie zupełnie, ale coś w tym rodzaju jednak... Więc nie wyjechałeś? Zostań z nami, przyjacielu — zaklinał go Federico.

— Dziękuję ci, szlachetny chłopcze; zastanowię się nad tem później jeszcze czy mam pozostać, tymczasem zaś pozostaję. Bo przyszło mi na myśl nagle, że bezemnie tybyś twój torf, który jak wiesz, jest stary...

— Żywiczny i błyszczący...

— Żywiczny i błyszczący, że ten torf tybyś pierwszemu lepszemu przebiegłemu spekulantowi mógł sprzedać za połowę wartości; wolę więc ten interes sam wziąć w rękę...

— I dla tego tylko pozostajesz?

— Dla tego, i dla innych jeszcze powodów — odpowiedział Enea z udaną powagą; — zostaję, bo rozmyśliłem się, że list wysłany do Kalkuty cały miesiąc przynajmniej jest w drodze... Panno Gabriello — dodał, zwracając się uroczyście do dziewczęcia — jestem tu każdego czasu do rozporządzenia pani; gdyby kiedy przeto ten Federico, który, słowem honoru ręczę, jest nie do zniesienia, miał się pani sprzykrzyć, gdybyś go pani, jak mam nie mylną nadzieję, z czasem miała znienawidzieć, to nie będziesz pani już potrzebowała pisać do Kalkutty poste-restante...

Wszyscy zaśmiali się a Gabriella uścisnęła serdecznie rękę inżyniera; ten zaś westchnął z komicznem do koła spojrzeniem, po za tem udanem może kryjąc prawdziwe wyrywające mu się z piersi westchnienie.

Przez cały dzień Enea był wesoły i ciągle w ruchu; nieraz kiedy Gabriella zdała się zamyśloną, zbliżał się do niej z miną sprzysiężonego i oglądając się na wszystkie strony szeptał jej do ucha: Namyśl się pani, czas jeszcze, on jest istotnie nie do zniesienia!...

A wybierał zwykle chwilę, w której wszyscy słyszeć go mogli; wówczas śmiech chóralny towarzyszył jego radzie, jedna Gabriella tylko wtórowała temu chórowi słabym uśmiechem.

Wtedy Enea odchodził od „najpiękniejszej w świecie dziewczyny“ i zbliżał do grupy staruszków, nowym żartem podsycając ich wesołość: Wiecie co jej jest?... szeptał tajemniczo... ubóstwia mnie, to pewne!

Co jej było jednak rzeczywiście?... Któż to odgadnie?... Może żal, że po zdeptanem tamtego szczęściu trzeba było przejść do swego?...

. . . .

Codziennie doktor Rocco biorąc na bok Gioachina i Romola pytał ich nieodmiennie:

— No, cóż tam dziś nowego? Jakże daleko rzecz zaszła? Czy ta nieznośna metryka nie nadeszła dotąd jeszcze?

— Jeszcze nie.

— Dziwny też pomysł ze strony Federica przychodzić na świat w podróży! Ale to nie jego wina ani też zmarłej jego matki, która pewnie nie byłaby nawet zabierała się do pakowania kufrów, gdyby miała najlżejsze przeczucie takiego intermezzo podróży; to znowu miły figielek opatrzności, bo w gruncie najbardziej pokrzywdzonym jest znowu ten biedny doktor Rocco.

— Ależ nadejdzie, nadejść przecież musi.

— „Nadejdzie“... dobrze wam tak mówić, ale ja nie mam czasu do stracenia; zobaczycie, że opatrzność nie dopuści mi nawet dożyć tej pociechy bym zobaczył córkę moją zamężną; osądziła widocznie, że dość już dla mnie szczęścia mieć podagrę, katar płucny, sparaliżowane ramię i cierpienia mlecza. I rzeczywiście nie dośćże to uciech! Niedawno temu jeszcze ot tak dla żartu obdarzyła mnie małym napadem apopleksji, po nim na serjo już przyśle mi drugi wielki, a potem dobra noc doktorze!

- Cicho, żeby nie posłyszała Gabriella...

I doktor Rocco ukrył gniew swój po za uprzejmym uśmiechem.

— Metryka nadeszła — zwiastował ważną tę nowinę pewnego dnia Federico.

— A już też był czas największy! — zawołał doktor; przystępujemy więc zaraz do wesela?

— Zaraz, nie...

— A czemu nie? Zdaje się, że ci wcale nie spieszno... Czegoż brak jeszcze? Metryka jest, moje zezwolenie macie oddawna... jeśli jeszcze zwlekać będziecie, potrzebnym wam będzie i akt sepultury.

— Nie nabijajże pan sobie czemś podobnem głowy, doczekasz niezawodnie stu lat.

— Ja! stu lat, powiadacie, a ja wam mówię: kłamstwo!... Przedewszystkiem czegoż brak wam jeszcze?

— Nie było jeszcze zapowiedzi.

Doktor Rocco wedle zwyczaju spojrzał z wyrzutem w niebo, umilkł jednak, bo przypomniał sobie, że zapowiedzi ustanowiło prawo a nie opatrzność, która w tym punkcie, o ile może znacznie jest wyrozumialszą.

— Ja tego dnia nie dożyję — mruczał doktor każdego poranku.

Ale go dożył. Pewnego słonecznego rana wstał wcześniej niż zwykle, obiegł każdy zakątek domu jak ciekawe dziecko, zajrzał tu do jakiegoś pudełka, ówdzie obejrzał jakąś atłasową suknię, tam zmierzył znów na dłoni pewne strojne pantofelki z białego jedwabiu, w których ukochane jego dziecię miało wyjść na zawsze z dziewiczego swego pokoiku. Potem stał przez chwilę z niekłamanym zachwytem przed strojną w szaty oblubiennicy swą córeczką. Wkrótce nadeszli też Federico, Romolo i Gioachino a nakoniec i inżynier czarno ubrany tak samo zupełnie jak pan młody. I doktor Rocco śmiał się, aj! jak śmiał się kiedy inżynier z całą powagą zbliżywszy się do pięknej narzeczonej, odezwał się do niej:

— Rzeczywiście więc jesteś pani zdecydowaną? Namyśl się pani dobrze, rozważ, jeszcze czas; za pół godziny utracisz mnie pani na zawsze...

Romolo, który lepiej niż inni pojmował maskę tej udanej wesołości, próbował pocieszać go na uboczu, ale zadziwił się niepomału, kiedy na swą pociechę następną odebrał odpowiedź:

— Nie żałuj mnie, mój kochany; nic nie straciłem, bom nie zdołał znaleźć drogi do jej serca; bez obustronnej zaś miłości, mój chłopcze, niepodobieństwem są doskonałe dzieci.

A gdy wreszcie gorzki kielich spełnionym był do ostatniej kropli, poprosił nierozsądny inżynier panny młodej o pocałunek i otrzymał go, a potem o drugi jeszcze i otrzymał go również, ponieważ płacił gotówką, obu bonami, które wyrwał był z zaciętej dłoni umierającego Federica.

Wszystkiemu temu przyglądał się doktor Rocco swobodnie, potem w roztargnieniu położył błogosławiąc dłonie na głowach młodej pary i rzecz dziwna, nie śmiał się przytem całkiem tak jakby w to wierzył, nakoniec zaś odwiózł nowo zaślubionych na dworzec kolei, zkąd idąc za śmiesznym zwyczajem, musieli się puścić w podróż po stu miastach pięknej Italji.

Potem pomruczał jeszcze trochę, ale tym razem na to już tylko, by pokryć wzruszenie; wreszcie oświadczył, że jest zadowolniony zupełnie i może już teraz umrzeć spokojnie.

Daremnie starali się Gioachino i Romolo na inny tor skierować jego myśli; kiedy wieczorem kładł się do łóżka miał minę tak uroczystą, jakby zstępował do grobu i dopiero następnego poranku kiedy słońce wesoło zajrzało w okna jego pokoju, przekonał się, że starzy jego przyjaciele mieli słuszność.

— Więc jeszcze żyję — rzekł do nich — i mógłbym jeszcze pożyć czas jakiś, gdyby opatrzność miała nieco wyrozumienia... ale no, już zobaczycie. Dla siebie nie żądam ja życia, ale chciałbym żyć jeszcze dla dzieci; chciałbym kiedy szczęśliwie wrócą z podróży, tylko raz jeszcze uścisnąć, nic więcej. Ale wytłómaczcież to temu tam w górze...

— Komu?

— Nie wiem — odmruknął doktor Rocco w tej nadziei może, że taką dyskrecją okupi sobie przedłużenie życia. Ale któryż filozof nie ma swych przesądów? Materja jest słabą, widzą to nawet materjaliści.

Nowożeńcy powrócili w najlepszem zdrowiu z swej podróży wczas jeszcze, by uścisnąć promieniejącego szczęściem doktora.

I Gabriela uczyniła matce serdeczne jakieś zwierzenie, które Tranquillina powtórzyła swemu mężowi, ten zaś wtajemniczył w nie coprędzej Romola i Gioachina, ale zaraz potem wznosząc w niebo ręce począł:

— Zobaczycie!...

Nagle jednak snać namyślił się, bo urwał. Fortel udał mu się dwukrotnie, trzeci raz mógł go zawieść; rozumniej było pokornie milczeć i nie kusić szczęścia.

W następstwie tego też zawarł zawieszenie broni z opatrznością, zachował zawsze jednaką wesołość, czytał w gruncie jak najspokojniej naj okropniejsze wiadomości i nie poważał się krytykować zrządzenia niebios, bez szemrania znosił najgwałtowniejsze boleści podagry i uśmiechał się ciągle; i jakby zawarł z kimś milczące przymierze był dziwnie łagodnym, cichym, rzekłbyś pragnie by ten ktoś zapomniał o nim zupełnie i zostawił go przy życiu.

Nakoniec nadszedł dzień upragniony tak gorąco, zjawił się maleńki Rocco i zażądał od dziadzi pocałunku i łzy.

— Jakiż ja jestem szczęśliwy! — zawołał doktor; ale już lękał się, że powiedział zbyt wiele, bo teraz kiedy upragnioną maleńką istotę trzymał w swym uścisku, czuł, że nie ma siły z nią się rozstać.

— Podobny do ciebie, tato! — wyszeptała blada matka z uśmiechem.

I Gioachino zaklinał się, by doktorowi zrobić przyjemność, że malec jest żywym jego obrazem; Romolo przecież nie zdołał przemódz na sobie

powtórzenia tak niebotycznego kłamstwa, jakkolwiek Tranquillina nawet zachęcała go do tego zapewniając, że jest jakiś „ślad podobieństwa.“

Nakoniec wybąknął wreszcie.

— Tak jest rzeczywiście jakiś ślad podobieństwa.

Tylko inżynier nic nie mówił; z zachwytem przyglądał się malcowi; w myśli zmieniał jego rysy o tyle, o ile one nie przypominały Gabrielli i uzupełniał je własnemi; a potem w duchu ujrzał inną maleńką istotkę: małego Leonka.

— Do kogoż podobny? — spytała go matka z promieniejącemi szczęściem oczyma.

A inżynier odpowiedział pośród śmiechu reszty:

— Żywy mój portret.

Czegoż miał się spodziewać jeszcze doktor Rocco od życia, czego oczekiwać? Nic już więcej. Wszystkie pragnienia jego się spełniły, mógł więc umrzeć; ale nie myślał o tem bynajmniej, by czasami kogoś innego na tęż samą myśl nie naprowadzić. Cichaczem zbadał swój organizm i znalazł, że z nim jest daleko lepiej niż sądził: żołądek funkcjonował jeszcze jak najdoskonalej; rozdęcie mlecza nie niepokoiło go, bo na nie nikt nie umarł jeszcze, a podagra ograniczała się jakoś na łechtaniu go czasami pod podeszwy. Że zaś od czasu do czasu bywa ktoś powołany do przedstawienia fenomenu niezwykle długotrwałego życia, czemu nie miałby doktor Rocco być właśnie jednym z tych powołanych?

I Opatrzności prawdopodobnie musiało być przyjemnem zawarcie pokoju z tym zaciętym materjalistą.

Przeszedł rok, przeszły trzy lata, a doktor Rocco odmłodniał, wszyscy mu to powtarzali.

Nawet zgorzkniały pod wpływem fizycznych cierpień humor złagodniał znacznie; ledwie mu pozostało dość potrzebnej sprężystości do utrzymania w należytym porządku dwóch niepoprawnych „chłopców.“ Ale chociaż Gioachino i Romolo zawsze jeszcze byli jego ofiarami, to i on w odwet znalazł mocarza w dwustopowym tyranie, którego skinieniu drobnych paluszków zupełnie stary doktor był uległym.

— Dziadziu — mówił maleńki Rocco do swego straszliwego imiennika — jutro kupisz mi konika...

— Kupię ci konika.

— I wózek...

— I wózek także.

— I welociped...

— I welociped.

— I cukierków...

— Będziesz miał i cukierki... A teraz nie pocałujesz-że mnie?

— Nie, boś był niegrzeczny... pocałuję kochanego wujcia Gioachina, bo on daleko grzeczniejszy od ciebie.

Gioachino zatarł sobie ręce.

Niegrzeczny dziadzio zaś udał, że płacze, to wzruszyło małego tyrana, podbiegł i tysiącznemi pocieszał go pocałunkami.

Tak zbiegał czas na prostem cichem życiu, wypełnionem miłością i pracą.

Federico stale zamieszkał na wsi; eksploatacja pokładów torfu nie mało dawała mu do czynienia; hodowla jedwabników, ogród, upodobanie do wykopalisk z kamiennej epoki, wszystko to całkowicie mu czas zajmowało, o ile nie poświęcał go ukochanej Gabrielli i dziecku. W okół tego maleńkiego gniazdeczka, które było przytułkiem tak wielkiego szczęścia grupowały się jedna wyłysiała i trzy posiwiałe głowy, bo niestety! i Tranquillinie włos osiwiał i pewnego dnia wreszcie Gioachino, którego zmęczyły już eksperymenta z najsławniejszemi „regeneratorami“, rzucił w kąt penzel i słoiki i zdecydował się ukazać światu swą siwiznę.

A była to naturalnie srebrno śnieżna siwizna, Gioachino jako okaz starości był kompletnie pięknym starcem. (Dok. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Kraszewski. Powieści historyczne. VIII. Stach z Konar, opowiadanie z czasów Kazimierza Sprawiedliwego. 4 tomy.*)

Po kilkudziesięciu latach srogich zamieszek, do których powód dał niefortunny podział państwa przez Bolesława III, Krzywoustego, między czterech synów, odetchnęła Polska przez lat kilkanaście pod roztropnymi rządami Kazimierza I, Sprawiedliwego (1177—1194). Pierwotnie posiadał on tylko ziemię Krakowską, ale niedługo po śmierci Henryka, który brał udział w drugiej wojnie krzyżowej odziedziczył Sandomierskie a w r. 1177 po wypędzeniu przez możnowładców Mieczysława III, Starego, przyłączył do posiadłości swoich także Wielkopolskę. W ten sposób połączył on pod swojem berłem całą Polskę Bolesławów z wyjątkiem Szląska i Mazowsza. Rządy jego były mądre i uczciwe; rozłożył systematycznie podatki, ukrócił gwałty i nadużycia, zaprowadził ulepszenia w sądownictwie, za co naród nadał mu zaszczytny przydomek Sprawiedliwego. Najważniejszym wypadkiem podczas jego panowania był synod w Łęczycy (1180 r.) który był raczej sejmem niż synodem kościelnym. Na zjeździe tym powzięto kilka uchwał gwarantujących przywileje duchowieństwa i zabezpieczających stan kmiecy od nadużyć rycerstwa. Za jego panowania datuje się ustalenie wpływu możnowładztwa na rządy państwa. Kazimierz pojmował jak niebezpiecznem dla kraju jest przeważny wpływ oligarchów, dla tego też starał się o podniesienie i wzmocnienie władzy monarchicznej. Papież Aleksander III, ofiarował mu koronę i prawo następstwa przyznał wyłącznie jego rodzinie usuwając prawo starszeństwa. Zabiegi te jednak nie odniosły pożądanego skutku, po śmierci Kazimierza zasada podziałów wystąpiła jeszcze silniej niż przedtem i wtrąciła kraj w nowe zamieszki, którym dopiero w 100 lat później Władysław Łokietek ostatecznie koniec położył.

Głównym tematem powieści Kraszewskiego są dzieje przyłączenia dziedzictwa Mieczysława Starego do posiadłości Kazimierzowych, anegdotyczną zaś niejako stroną tej historji stanowią losy dzielnego ziemianina Stacha z Konar, który odgrywa w powieści rolę ducha opiekuńczego Kazimierza. Ten Stach z Konar nieznany a właściwie niepoznany przez Kazimierza, kryje się śród jego drużyny i bacznie śledzi wszystkie wypadki: wszystko co może szkodzić Kazimierzowi usuwa z narażeniem własnego nawet życia, wszystko zaś, co mu przysporzyć może potęgi, sławy i pomyślności, wyzyskuje dlań jak najlepiej i najskrupulatniej. A za to wszystko nie żąda żadnej nagrody, ani nawet pochwały: owszem po spełnieniu każdej usługi usuwa się, tak że Kazimierz nawet domyślać się nie może, kto jest jego dobroczyńcą. Czemże jest to dziwaczne postępowanie Stacha z Konar? Ekspiacją za dawniej popełnioną ciężką krzywdę na osobie Kazimierza, a zarazem spłaceniem długu wdzięczności za prawdziwie chrześcijańską i rycerską tegoż wspaniałomyślność. Przed laty, gdy jeszcze Kazimierz nie był panującym księciem, obaj ze Stachem żyli w jak najlepszej przyjaźni i jako młodzi oddawali się wspólnie uciechom i zabawom młodzieńczym. Krewka natura nieraz ucieszną zabawę zmieniała w naganne wybryki. Razu pewnego obaj bawili się ulubioną w średnich czasach grą w kości: rozegrzani trunkiem stawiali grubo, rzut za rzutem Stach przegrywał, Kazimierz dworował z jego nieszczęścia, wreszcie roznamiętniony Stach stawia resztkę swej ojcowizny — rzuca — przegrywa. Wszystka kwew uderzyła mu do głowy, odszedł od przytomności, wściekłość go porywa na widok śmiejącego się szyderczo Kazimierza, rzuca się nań i wymierza mu policzek. Ciężka ta obraza wyrządzona księciu krwi, nie mogła ujść bezkarnie i sąd skazał go na karę śmierci. Kazimierz jednak, który ochłonąwszy z namiętnych wynurzeń poznał, że sam był przyczyną tego smutnego zajścia, postarał się o uwolnienie porywczego druha od srogiej kary. Od tego czasu Stach postanowił poświęcić całe życie dla swego szlachetnego towarzysza i zbawcy: udał się za granicę, tam się wyćwiczył w rzemiośle rycerskiem i nabył wprawy w robotach dyplomatycznych, a wróciwszy do kraju pod obcem nazwiskiem wkręcił się do drużyny królewskiej, by czynem odpokutować za błąd młodości. Nie jednemu może z czytelników zapatrujących się z czysto realnego stanowiska na sprawy ludzkie, motywa działalności Stacha, a tem samem cała nić przewodnia powieści wydać się może nienaturalną i naciągniętą. Sąd taki grzeszyłby zupełnym brakiem słuszności. Nie trzeba zapominać, że opowiadanie ma za tło koniec XII stulecia, w którym średniowieczna rycerskość rozwinęła się już znakomicie, aby w XIII i XIV dosięgnąć najwyższego stopnia doskonałości, że w owym młodzieńczym okresie ludów europejskich najpotworniejsze zbrodnie z idealnem zaparciem się i poświęceniem stykały się niemal na każdym kroku. W owym czasie postacie takie jak Stacha z Konar, były niemal typowemi, dla tego też nie zarzut, lecz owszem głębokie uznanie wyrazić należy szanownemu autorowi, że tak zręcznie i tak prawdziwie scharakteryzować zdołał epokę w swoim bohaterze.

Ponieważ i ta powieść Kraszewskiego, jak poprzednie, ma cechę ściśle historyczną, zastanowić nam się należy nad charakterystyką obu głównych dziejowych postaci, odgrywających pierwszorzędną rolę w opowiadaniu, mianowicie nad charakterystyką Mieczka i Kazimierza. Współcześni nadali Mieszkowi przydomek Starego chcąc przez to oznaczyć nie wiek, ale przymioty ducha: roztropność i doświadczenie. Był on rzeczywiście człowiekiem stworzonym do rządów w tak niespokojnych czasach: widział jasno złe wypływające z podziałów i rozwielmożenia się możnowładztwa, dla tego też dążył do podniesienia jak najwyżej swej władzy i do skupienia w swym ręku jak najwięcej dzierżaw. Uciskał on srogo możnowładztwo, natomiast brał w opiekę lud ubogi. Że sludzy książęcy w wyciskaniu podatków nie oszczędzali także ludu, to pewna, nie można jednak przypuszczać, aby to działo się za wolą Mieczka, był on bowiem zanadto rozsądny, aby dobrowolnie pozbawiać się

jedynej swojej podpory. Tak się przedstawia podług dziejów charakter Mieszka; autor „Stacha z Konar" wizerunek tego księcia nałożył zanadto czarnemi barwami. Nie rozmija on się wprawdzie nigdzie z prawdą dziejową, czuć jednak w każdem zdaniu chęć przedstawienia Mieczysława w jak najgorszem świetle, w tym też celu nie podnosi autor nigdzie stron dodatnich, których nie brak w charakterze Mieszka, a lubuje się widocznie w kreśleniu ujemnych. Niezawodnie chodziło tu autorowi o kontrast z Kazimierzem, którego wady nawet łagodzi o ile można. Już sam przydomek „Sprawiedliwy" jest najlepszą pochwałą Kazimierza: był to rzeczywiście człowiek zacny i prawy, częstokroć jednak łagodność jego graniczyła bardzo blisko ze słabością charakteru. Pokorny sługa hierarchji kościelnej pozostawał ciągle pod jej wpływem, czego najlepszym dowodem Synod Łęczycki, stanowił on przeciwieństwo Mieczysława, który przedstawia wiele podobieństwa do Bolesława II. Kazimierz, jako król, jest dosyć bladą postacią dziejową i taką też mimo ojcowskich pieszczot autora pozostaje w powieści. Szanujemy go, poważamy, kochamy nawet, ale nie porywa on nas za sobą, nie odczuwamy z nim razem, ani imponuje, a nawet nie pociąga.

Daleko więcej niż strona dziejowa w powieści budzą zajęcie miłostki królewskie z dwiema rywalkami pełne charakterystycznych szczegółów. Nić intrygi, w której główne role dostają się w udziale Stachowi i królowi, prowadzona zręcznie a nie naprężona nigdy dla czczego efektu, zajmuje czytelnika do końca ku niemałej przyjemności, a większej nauce.

Pod względem artystycznego obrobienia pozwolimy sobie zrobić tylko tę skromną uwagę, że bez uszczerbku możnaby „Stacha z Konar" (4 tomy) skrócić. Bez wątpienia byłaby szkoda kilku pięknych opisów i charakterystycznych epizodów, ale powieść zyskałaby na jędrności...

B. Cz.

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

Rzekome zmiany na księżycu. — Podział bezpośredni światła elektrycznego pp. Molera i Cebrian. — Nowa materja wybuchająca. — Wygasanie rodów arystokratycznych.

W zeszłym roku rozbiegła się po świecie, już kilkakrotnie przedtem kolportowana wiadomość, że powstał nowy krater na księżycu, że więc ciało to niebieskie podlega jeszcze tego rodzaju gwałtownym przewrotom i daje znaki swego życia geologicznego. *Klein* miał ujrzeć nowy, niewidziany dotychczas krater w okolicy wygasłego wulkanu zwanego *Hyginusem*. Wiadomość ta dziwna i niespodziewana, rozniesioną została za pomocą dzienników po świecie i uważano spostrzeżenie Kleina, jako pozytywnie stwierdzające istnienie wulkanicznej czynności na księżycu. Jeżeli jednak bliżej się przypatrzymy przedmiotowi, to przekonamy się, że jakkolwiek nie można stanowczo zaprzeczyć możliwości wybuchu nowych wulkanów, to jednak wielkie prawdopodobieństwo ma za sobą zdanie wręcz przeciwne, że księżyc jest ciałem obumarłem, które już skończyło epokę gwałtownych przewrotów i znajduje się w stanie niczem prawie niezamąconego spokoju.

Księżyc znajduje się stosunkowo dość blisko od nas i dla tego ze wszystkich ciał niebieskich najlepiej mógł być zbadanym. Poznano dokładnie ile na to lunety pozwalały, budowę jego powierzchni i przekonano się, iż usianą jest kraterami wygasłych wulkanów, dochodzących nieraz do olbrzymiej wielkości. Przez długi czas zdejmowano plany tarczy księżycowej i z wyjątkiem kilku wątpliwych wypadków, przekonano się, że w okresie trwania dokładnych obserwacji, nie zaszły żadne zmiany, świadczące o gwałtownych przewrotach. Wszystko, przeciwnie, każe wnioskować iż księżyc jest ciałem zupełnie ostygłem, ciałem, które z powodu swej małości, prędko wysłało w przestrzenie międzyświatowe cały prawie swój zapas ciepła, że dziś jest zupełnie skrzepłą massą. Zauważono także, że niemasz prawie powietrza na księżycu, a przynajmniej znajduje go się tylko tyle, ile pod kloszem pompy pneumatycznej, przy wielkiem rozrzedzeniu. Nie ma powietrza, nie ma też i wody, któraby w próżni istnieć mogła tylko w stanie pary. Nie ma na powierzchni księżyca dwóch potężnych czynników, jak woda i powietrze, które drogami mechaniczną i chemiczną tak się przyczyniają do zmiany kształtu powierzchni ziemi.

Wszystkie te fakta, wypływające z dokładnej obserwacji każą mniemać, iż nie ma warunków odpowiednich na księżycu, do tak wielkich zmian, żebyśmy je za pomocą teleskopów obserwować mogli.

A jednak jakże sobie wytłumaczyć, że w miejscu starannie przez obserwatorów badanem, w okolicy Hyginusa, zauważył Klein nowy krater, niezanotowany na żadnych rysunkach wielokrotnie i dokładnie z tej okolicy zdejmowanych?

Odpowiedzi na to dają lord Lindsay i R. Copeland (w miesięczniku król. ang. Astron. Tow. 79 p. 195). Panowie ci powiadają, iż okolica Hyginusa jest co do swej powierzchni tak nieregularna, tak skomplikowaną obok niewielkiej wyniosłości tak różnorodnie zabarwioną, że przy rozmaitem oświetleniu mogą łatwo powstawać złudzenia optyczne, i niemożliwość dojrzenia za wyjątkiem szczególnych warunków, pewnych części składowych otaczającej przestrzeni. Oto naprzykład jedna z obserwacji tej okolicy z 17 października 1878. Wtedy właśnie granica pomiędzy ciemną a jasną częścią księżyca przechodziła przez Hyginusa. Zdjęto kilka rysunków okolicy, lecz na południo-zachodzie nie zauważono żadnego krateru. W trzy godziny później widziano już sierpowaty grzbiet, który za godzinę stał się wyraźnie częścią krateru sąsiadującego z Hyginusem. Nieco dalej ujrzano mały krater, który jednak znikł już po trzech kwandransach. Mała zmiana w oświetleniu sprowadziła to zjawisko. Tymczasem pierwszy krater stawał się coraz wyraźniejszym a później zakryty został we wnętrzu plamą, którą jak się zdaje widoczną jest przy wszystkich oświetleniach.

Te spostrzeżenia dowodzą, iż bardzo być może, że Klein widział przy szczególnie korzystnem oświetleniu krater, który dotychczas ukrywał się przed okiem badaczy. Widzimy więc, że tego rodzaju spostrzeżenia trzeba przyjmować ze szczególniejszą ostrożnością i należy zbierać przez długie lata najdrobniejsze szczegóły, żeby w tej mierze módz coś stanowczego zawyrokować.

* * *

Sprawozdawca z dziedziny odkryć i wynalazków skazany jest obecnie, z powodu chwilowego nadzwyczajnego rozwoju pewnej dziedziny wiedzy fizycznej na obracanie się ciągle w sferze telefonów i oświetlenia elektrycznego. Dwa te przedmioty są ciągle na porządku dziennym i co chwila wynalazcy z różnych stron świata częstują nas nowościami. Najwięcej korzyści materjalnych obiecuje oświetlenie elektryczne, więc też szczególniej w tym dziale pojawia się mnogość najrozmaitszych propozycji. W jednym z ostatnich numerów *Scientific American*, znajdujemy opis interesującej próby oświetlenia elektrycznego opartej na zupełnie nowej zasadzie podziału.

Sprawa światła elektrycznego stoi obecnie tak, że tam gdzie chodzi o wytworzenie jednego wielkiego ogniska, o potężnej sile, tam opłaca się ono najzupełniej i przedstawia znakomite korzyści—natomiast tam gdzie trzeba z jednego źródła zapalić wiele świateł o mniejszej sile, oświetlenie takie kosztuje za drogo, i właśnie wynalazcy zajęci są szukaniem taniego podziału. Wspominaliśmy o tych próbach niejednokrotnie w *Kronice naukowej*. Obecnie p. p. *Molera i Cebrian* z San Francisko, które, nawiasem mówiąc, ze wszystkich miast na kuli ziemskiej pierwsze będzie całkowicie elektrycznie oświetlonem, przedstawili projekt bezpośredniego podziału światła uderzający nowością pomysłu. Wytwarzają oni potężne ognisko świetlne, i potem dzielą nie prąd elektryczny, lecz promienie światła na części, rozsyłając je na wszystkie strony.

Żeby poznać ich metodę oświetlania, miejmy jakiś praktyczny przykład na oku. Dajmy na to że chodzi nam o oświetlenie wnętrza jakiegoś budynku. W tym celu wstawia się gdzieś w odpowiedniem miejscu, np. w suterenach, maszynę magneso-elektryczną, która za pomocą pary wytwarza silny prąd elektryczny, zapalający jedną lampę o sile paru tysięcy płomieni gazowych. Ognisko świetlane mieści się w środku sześcianu, którego ściany utworzone są przez soczewki wypukłe, dające promieniom światła taki kierunek, iż się nie rozpraszają w przestrzeni, lecz biegną równolegle. Ile jest ścian, tyle równoległych pasm światła rozbiega się od ogniska na wszystkie strony. Takich soczewek używają przy latarniach morskich, żeby światło w wielkiej sile posłać na znaczne odległości. Kiedy bowiem promienie zmuszone są do równoległego przebiegu, wtedy strata na sile jest stosunkowo mała, nawet na wielkiej przestrzeni. Strata pochodzi wtedy od absorpcyi powietrza i od rozproszenia. Dokładną konstrukcją można to sprowadzić do niezbyt wielkiego mininum.

Zobaczmy teraz jak p. p. Molera i Cebrian zużytkowują tę własność do celow praktycznego oświetlania. Przypatrzmy się jakim jest przebieg jednego z pasm światła rzucanego przez soczewkę. Przypuśćmy że śledzimy przebiegu pasma idącego pionowo do góry. Zamkniętem ono jest w rurze przechodzącej przez wszystkie piętra. Zaraz na wysokosci parteru część pasma w rurze pada na pryzmat, który załamuje je i rzuca w kierunku poziomym. Od dawnego pasma pionowego, oddzieloną została jedna część która w postaci pasma poziomego, o mniejszej sile bieży w rurze pionowej umieszczonej w suficie. W przebiegu po nad salonem znajduje się pryzmat odbierający z kolei pewną część pasma i rzucający ją na reflektor oświecający salon. Pozostała część przechodzi dalej i jest rozdzieloną na pojedyńcze pokoje. Mamy tu coś podo-

bnego do rozdziału wody lub gazu za pomocą rur i kranów, z tą różnicą, że te rury muszą być proste a zamiast kurków są pryzmaty i reflektory.

Główne pasmo pionowe, którego część zużytą została na oświetlenie parteru, służy w zupełnie ten sam sposób do oświetlenia wszystkich piątr. Z każdem nowem piętrem ubywa pewna jego część, zwęża się ono i ostatnia służy do oświetlenia najwyższych pokoi.

Inne główne pasma wybiegające od źródła światła zużytkowują się w ten sam sposób do oświetlania lamp przed frontem, lamp ulicznych, ogrodowych i t. p.

W każdej chwili można regulować w danym pokoju ilość światła odpowiedniem ustawieniem soczewki. Zresztą dla pewnych specjalnych potrzeb można zakładać inne soczewki, o odmiennym kształcie, kiedy np. chodzi o skoncentrowanie światła na jeden punkt w pokoju, przy doświadczeniach fizycznych i t p. Soczewki mogą być kolorowe i zmieniać w dowolny sposób barwę oświetlenia.

Do ważnych zalet tej metody oświetlania należy to, że nie ma żadnej obawy ekzplozji, że temperatura pokoju oświetlonego pozostaje niezmienną i że powietrze nie jest zanieczyszczane żadnemi szkodliwemi zdrowiu gazami. Ma się tu do czynienia z samemi tylko promieniami światła, a ich ognisko znajduje się gdzieś w oddali, tuż przy maszynie wytwarzającej prąd elektryczny, co naturalnie przyczynia się do wydajności światła w lampie, gdyż prąd nie znajduje szkodliwego oporu w długich drucianych przewodnikach.

Węgle w lampie zużywają się prędko i potrzeba regulatorów na ciągłe ich zbliżanie. Żeby usunąć drogie regulatory, skrzynkę sześcienną, w ścianach soczewkowych zrobiono szczelną i wypompowano powietrze. Wskutek tego węgle bez tlenu nie spalają się, a jeśli koniec się odłamie, to bardzo prosty regulator zbliża je napowrót do siebie i znów powstaje łuk woltaiczny.

Teoretycznie ta metoda wydaje się dobrą, lecz praktycznie dałoby się jej wiele, nawet bardzo wiele zarzucić. W czasopiśmie wyżej wspomnianem, nie ma ani słówka o próbach z oświetleniem tego rodzaju, nie mamy więc pewnych podstaw do sądzenia o jego praktyczności. Skoro jednak nadejdą bliższe szczegóły, nie omieszkamy dać o nich znać naszym czytelnikom. (Dok nast).

KRONIKA TYGODNIOWA.

Odświeżony Lwów powracającemi z letnich wycieczek bocianami, tudzież ochoczą do nauki młodzieżą, na nic lepszego zdobyć się nie może, jak na oklepane i przejadłe festyny z loterją fantową na żywe fanty pierzaki i ssące, z muzyką pułkową, latarniami z papieru a ostatecznie z piwem. Miasto nasze dotąd uchodziło za ruchliwe i pomysłowe, przynajmniej w dawniejszych czasach mieliśmy tu dosyć szumu, huku, wrzawy i innych objawów gorętszego temperamentu. Dziś jakoś to wszystko zniknęło, czy skutkiem biedy opuściliśmy uszy, czy też po wyszumiałej młodości nastąpiła już drzemka starości? Jednem słowem, od czasu ostatniej wystawy przed dwoma laty, wszelka inicjatywa publiczna znikła; miasto zasypia snem błogiej apatji i czeka aż same pieczone gołąbki nie wpadną mu do buzi.

Przemysł i handel upadają coraz bardziej, dawna ruchliwość instytucji różnych, nawet oczu przecierać nie chce — nic się nie klei, nic się nie przedsiębierze — ot żyjemy byle żyć, grzecznie, cicho, przyzwoicie. Gdyby nie Rząd i Wydział krajowy, które od czasu do czasu przerwą tę ciszę zwołaniem jakiejś ankiety, lub jak teraz Towarzystwo rolnicze, otwarciem targu międzynarodowego na zboże, świat i Polska nie wiedzieliby, czy jaki Lwów gdzie istnieje. A nie tak robią nasi ziomkowie za kordonem, lub pobratymcy np. w Pradze. Mrówczej ale wytrwałej i konsekwentnej pracy Czechowie, jak tylko dowiedzieli się o zabraniu Bośnji i Hercogowiny w opiekę austrjacką, zaraz tyle zasłużona na polu rozbudzenia przemysłu i handlu ich *Jednota k powzbuždeni promyslu w Czechach* zwróciła swoją czynność i oczy ku krajom bałkańskim. W towarzystwie tem utworzono komitet, celem którego jest doprowadzić do skutku wzajemność przemysłową pomiędzy bratniemi narodami. Wiemy dotąd, że w południowych krajach słowiańskich spoczywała większa część przemysłu zakrajowego w rękach wyłącznie obcych. Niemcy, żydzi, Francuzi, Włosi i Anglicy, korzystali ogromnie z tych błogosławionych krajów, szukając naturalnie samych tylko zysków, i że ci sami, których te stosunki wzbogacały, byli dla miejscowej ludności tembardziej żywiołem niebezpiecznym, a nawet szkodliwym.

Otóż komitet przemysłowej „Jednoty" odbywszy dotąd 17 posiedzeń, starał się przedewszystkiem zebrać wiarogodny materjał statystyczny o położeniu handlowem na Bałkanie. Można sobie wyobrazić, jakie on musiał przezwyciężyć trudności, nim osiągnął jakibądź rezultat tych starań — jednak nie ustaje w swych usiłowaniach. Dla zachęty przemysłowców, urządził ten komitet szereg odczytów o Bulgarji, żeby każdy interesowany mógł się choć nie co ze stosunkami tego kraju oznajomić. Dalej urządza w Serbji, osobną przenośną wystawę czeskich wyrobów przemysłowych; następnie udaje się z prośbą do c. k. cywilnego zarządcy Bośnji p. M. Rotkiego, ażeby dążności pragskich przemysłowców radą i czynem popierał. Wskutek tej prośby otrzymał komitet z Serajewa bardzo życzliwy list, w którym p. radca Rotky z pełnem uznaniem objawił życzenie, ażeby czescy przemysłowcy osiedlali się w Bosnji i Hercogowinie i z temi krajami stosunki krajowe zawiązywali. Z tego widać, że południowym Słowianom ta propozycja przypadła do smaku, i że gotowi są podać ręce do pracy, która obydwom stronom znaczne korzyści przysporzyć musi.

A u nas co? Rozmówiliśmy się na obchodzie srebrnego wesela w Wiedniu z kilku bośniakami i dowiedziawszy się, że mogą nas nieźle zrozumieć, roztrąbiliśmy tę okoliczność z wielkim ferworem po gazetach, a o Bośniakach zapomnieli... Chcemy rozwinąć nasz przemysł i handel, chcemy żeby wyroby nasze znalazły odbyt, nie zrobiwszy kroku po za rogatki, aby się o kupca postarać. Mamy tyle stowarzyszeń rozmaitych we Lwowie i Galicji uprawiających między innemi i grę w kręgle i teatra amatorskie i pomysły do festynów, a nie możemy się zdobyć na utworzenie takiego towarzystwa „Jednoty", któreby opiekując się naszym przemysłem, szukało mu i ułatwiało drogi zbytu. Na cóż się zdały Akademje i Instytuty techniczne, szkoły rzemieślnicze, kasy zaliczkowe, kredyta, stowarzyszenia rzemieślnicze z muzyką i bez muzyki, jeżeli nikt nie wie co my produkujemy, co zbyć możemy, ale czekamy aż kto przyjdzie do nas do sklepu, a my raczymy sprzedać mu towar. Proszę zobaczyć, ilu tu co dnia przyjeżdża różnych komiwojażerów z całego świata i wpycha nam w ręce wyroby swoich fabryk, a proszę mi pokazać, czy istnieje aby jeden gdziebądź komisant galicyjski na świecie? A jednak możemy w wielu razach konkurować, na Wschodzie i Turcji z innemi narodami. Nasze wyroby szewskie są doskonałe, stolarze i ślusarze, a nawet krawcy swych robót się nie powstydzą — rymarskie i stelmachskie prace lwowskich majstrów są cenione. Lecz czy je widział kto naprzykład w Kijowie, Odesie, Kamieńcu i innych miastach krajów zabranych, kiedy tam cisną się kupcy z Wiednia, Berlina, z Warszawy. Toż samo jest w Rumunji, toż samo w krajach dawniej tureckich.... Na co się zdały ankiety, szkoły rzemieślnicze, jeżeli my sami nie będziemy się ruszać i szukać zarobku... Pisząc to, niestety wiemy, że nawoływania te będą grochem na ścianę, bo u nas tyle jest patrjotów, którzy serdecznie kraj kochają, ale w słowach — gdy zaś przyjdzie coś zrobić dla dobra publicznego, poświęcić trochę czasu i pracy, to robimy to dla wielkiej polityki, dla głośnej sławy narodu za granicą — ale nie dla przysporzenia chleba biedakom i wprowadzenia ich na drogę korzystnego zużycia swej pracy... Oglądamy się na władze i narzekamy że nas wyzyskuje kto nie chce — ale ruszyć się z tego zastoju nie mamy chęci i wyrobić ducha poświęcenia dla służby powszechnej nie możemy.

W Warszawie teraz niejaki pan Ławicki wynalazł narzędzie zwane *pospiesznikiem*, które to narzędzie zastosowane naprzykład do pługa, ma skracać czas orki o 30%. Oszczędność ta, zasadza się na tem, że człowiek chodzący dotąd za pługiem, ma jeździć teraz na koźle, co ma ułatwiać kierowanie robotą... Na miłość Boską dajcież nam tutaj takiego pospiesznika, może jakoś ruszymy się trochę z miejsca i naszą biedę galicyjską o 30% lżej popchniemy naprzód....

We środę ubiegłego tygodnia wielka radość opanowała gospodynie nasze, a więcej jeszcze przekupki lwowskie, na wiadomość, że targ produktami przenosi się znów na rynek z placu Strzeleckiego. Magistrat był tyle uprzejmy, że kazał Harmonji przeprowadzić te rynkowe damy na dawne miejsca, — więc było tyle uciechy, jak na przenosinach nowożeńców, bo i tańce i inne oznaki dobrego humoru.

Napływ młodzieży do szkół publicznych nie jest w tym roku mniejszy niż lat innych — jedna tylko szkoła realna poczuła ubytek i bardzo słusznie, gdyż rozwój przemysłu nie idzie dalej i młodzież szukająca pracy na tem polu zostaje bez zajęcia. Natomiast szkoła rolnicza w Dublanach zdaje się że zdubluje swój poczet w tym roku; dotąd zgłosiło się 90 słuchaczy, a jeszcze zapisy nie zamknięte — Bieda tylko, że brakuje dogodnego pomieszczenia dla externów, a choć Wydział krajowy ułatwia przedsiębiorcom budowę nowych domów, to nie zaszkodzi zwrócić uwagę przemysłowców naszych, że tam mogą bardzo korzystnie zwrócić swą pracę i mniejsze kapitały. Rusini jak zwykle łapią jak mogą do swoich szkół dzieci nawet nie ruskiego pochodzenia, ofiarując ubrania dla nich i książki bezpłatnie. Nam to się wydaje trochę

dziwacznem, jednak oni wiedzą co robią, i robią dobrze — dla siebie...

Mimo narzekań na złe czasy i spadek cen lokalów, Lwów ciągle się buduje. Przy ulicy Sykstuskiej wznosić się ma gmach na łazienki — a tu i owdzie wyrastają nowe kamienice, odnawiają się dawniejsze. Szkoda tylko, że panowie budujący tak mało robią sobie subjekcji z przechodniami. Zajmując trotuar i całą prawie ulicę na skład materjałów, spędzają nas w błoto, kiedy zdaje się, że muszą istnieć jakieś przepisy budowlane zabezpieczające swobodny ruch komunikacyjny dla ludzi, którzy nie mają tego szczęścia należyć do przedsiębiorców budowania.

Żeby nie urzec pogody, która nam od kilku dni jakoś uczciwie służy, napominamy o niej na końcu — ztąd i ruch po ulicach jakoś żywszy i moc bardzo pięknych a tanich owoców w które Lwów obfituje.

Uroczystość jubileuszu Kraszewskiego zbliża się coraz bardziej. Poznańczycy proszą o parę dni zwłoki, gdyż właśnie na 29 i 30 Września naznaczone są u nich wybory do parlamentu. Zdaje się że komitet krakowski powinien to uwzględnić, albowiem szkoda byłoby, żeby ta najstarsza dzielnica polska, była słabo reprezentowana.

Na polu literackiem i polityczno-galicyjskiem cicho. P. Hausner nie może się namyśleć gdzie złoży zbyteczny mandat poselski i rozpatruje się do koła szukając następcy po swojej myśli, książe Jerzy Czartoryjski, również się namyśla, a zdaje się że czas byłby znaleźć sobie towarzyszy, jeżeli hr. Andrassy mający trochę cięższą do zostawienia sukcesją, już wynalazł br. Haymerlego...

Cara w Warszawie jak powiada dziennik urzędowy, przyjmowano z entuzjazmem, oficerowie gwardji jechali konno przy karecie, a ognie bengalskie oświecały drogę. My wiemy dlaczego to wszystko — pisma tamtejsze mówią, że to z wielkiego uwielbienia dla ubóstwianego monarchy...

* * *

W r. b. brak następujących książek szkolnych: Katechizm (I klasa), Geometrja (I kl.), Gramatyka grecka (klasa III — VIII), Wypisy polskie (IV kl.), Wypisy niemieckie (V. kl.), Historja starożytna Pütza (V kl. już od lat sześciu książki tej nigdzie dostać nie można, a stale jako podręcznik szkolny przepisywana), Algebra (V — VIII kl. jest początek książki, płaci się za całą), Geometrja (V — VIII jest początek książki, płaci się za całą), Historja wieków średnich Pütza (VI kl.), Zoologja Nowickiego (VI kl. jest tylko część książki, płaci się za całe dzieło i trwa to już od lat pięciu), Etyka (VII kl.), Fizyka (VII i VIII kl.), Historja kościoła (VIII kl.), Chemja (V, VI, VII kl.), Literatura polska (VI i VII kl., jest początek książki a płaci się za całe dzieło), Mineralogja (VII kl).

Notatkę tę zrobiliśmy dla Świetnej Rady Szkolnej krajowej. Komentarza nie robimy. Odwołujemy się tylko do tego, cośmy pisali w r. z. w Nr. 56 z dnia 22. września.

* * *

Dzienniki warszawskie zamieściły następujący artykuł:

„Nadesłany nam do ogłoszenia program uroczystości, mających się odbyć w końcu b. m. w Krakowie, nie mało nas zadziwił. Zdawałoby się, iż komitet krakowski niedość jasno zrozumiał znaczenie jakie społeczność nasza do uroczystości tych przywiązać zamierzyła, oraz naturę tak powszechnego we wszystkich zakątkach udziału w objawach czci dla zasłużonego pisarza polskiego lub też że, zrozumiawszy to wszystko, komitet pragnął ogólne to zainteresowanie się zużytkować w widokach, partykularzem tchnących. Cóż bowiem znaczy to powiązanie jubileuszu Kraszewskiego z inauguracją „Sukiennic“? Nie wątpimy, że *Sukiennice* odnowione dużo się przyczynią do uświetnienia fizjognomji miasta Krakowa, i że serce niejednego mieszczanina krakowskiego żywiej zabije na myśl, jak dalece ogromny ten gmach, zamiast szpecić, przyczyni się do ozdobienia rynku krakowskiego; ale nie każdy z nas jest *civis romanus* i tak gorąco tym przedmiotem przejąć się zdoła.

„O tem snać komitet krakowski zapomniał i program swój w granicach niezbyt obszernego widnokręgu miejscowego sformułował. A może na dnie tego sformułowania tkwi owa niedocieczona i nieprzystępna dla ogółu ministerjalność, w którą czasem każą nam ślepo wierzyć, jako w kwintesencję rozumu stanu. Co do nas, jeżeli mamy udział brać w zamierzonych uroczystościach, to winniśmy objaśnić komitet krakowski, że przy całem współczuciu dla *Sukiennic* pozostawimy je na uboczu i wyłącznie mieć będziemy na celu oddanie czci Kraszewskiemu. Taka była od początku myśl społeczności naszej, i do przeistoczenia tej myśli my ręki nie przyłożymy.“

Słuszne te uwagi zupełnie podzielamy.

TEATR.

Ogórkowy sezon zdaje się już zbliżać do końca. Przerażające pustki, które przez kilka miesięcy rozgospodarowały się w sali teatralnej, ustępują powoli, ożywia się repertoar, ożywiają się artyści, a wraz z nimi kapryśna lwowska publiczność. Wiele jeszcze wprawdzie potrzeba, zanim teatr nasz dojdzie do zwykłego stanu, w każdym jednak razie są już symptomata, że niedługo będziemy musieli czekać na uregulowanie stosunków przez miesiące letnie mocno wykolejonych. Przedewszystkiem rychłej a energicznej działalności wymaga opera, która utraciła pp. Zakrzewskiego i Borkowskiego (obaj zaangażowani zostali do Kijowa) jakoteż kilku członków orkiestry. Co się tyczy tej ostatniej bezwarunkowo potrzeba wzmocnić kwartet smyczkowy, a mianowicie pierwsze skrzypce kontrabas.

Z wyjątkiem pp. Ładnowskich, wszyscy artyści dramatu powrócili już z urlopów, umożliwiając przez to dyrekcji ułożenie stałego repertoaru. Na brak nowości scenicznych nie mamy powodu uskarżać się, owszem nasuwa nam się uwaga, czy tych nowości nie było za wiele, dyrekcja bowiem chcąc przyciągnąć publiczność, siliła się nad miarę, aby niemal co tygodnia jaką nową sztukę przedstawić, a kierowała się w tem niezbyt słuszną zasadą, że co nowe, to dobre. Mało też która z tych nowości wytrzymała zwycięsko ogniową próbę przedstawienia, pomimo, że publiczność i krytyka ze względu na sezon kanikuły zmniejszyła skalę wymagań do iście liliputowych rozmiarów.

W ostatnich dniach obdarzyła nas znowu dyrekcja dwiema nowościami, dramatem Narzymskiego „Bez tytułu“ i francuskim spektaklem „Cesarzewicz Ludwik Napoleon“. Obu tych sztuk według naszego zdania, nie powinno się było przedstawiać, chociaż imię autora pierwszej tak zaszczytnie znane w naszej literaturze dramatycznej, dla publiczności przedstawiało pewną gwarancję. Dramat „Bez tytułu“, który właściwie nosi nazwę: „Niekomiczna komedja“, wydany w Poznaniu, jest młodzieńczym utworem utalentowanego pisarza i sam autor uznawał go jako nieodpowiedni do przedstawienia. Nie jest to właściwie dramat, tylko udramatyzowana alegorja, w której różne prądy polskich partyj uwidocznione są w czysto społecznych stosunkach. Książę, poświęcający honor swego domu i ukochaną córkę, sądząc w swem ciasnem pojęciu, że przez to odzyskuje pradziadowską siedzibę, przedstawia ma niedorzeczną i naganną dyplomację niektórych naszych pseudo-dyplomatów; pobożny hrabia reprezentuje ultramontanizm, a raczej towiańszczyznę, głoszącą dogmat, że tylko męczeństwo i modlitwa zbawi ojczyznę, wreszcie młody człowiek z ludu, pełny szlachetności i energji partję czynu. W baronie i w jego synu w sposób jak najjaskrawszy umieścił autor wszystkie najpotworniejsze rysy nękającego nas caryzmu. W czytaniu alegorja ta występuje jasno, natomiast w przedstawieniu, z powodu, że widz nie przypuszcza nawet alegorji, staje się ona nawet dla najinteligentniejszej części publiczności niezrozumiałą, a przez to dzieło traci najżywotniejszą część swojej wartości, a nawet te strony które możnaby uważać jako dodatnie, występują jako ujemne. Autor chcąc postaci swoje uczynić jak najwybitniejszemi reprezentantami pewnych idei i kierunków zapomniał, że pisze dramat, w którym powinni występować ludzie i podzielił osoby działające na dwie kategorje: apokaliptycznych potworów i niebiańskich duchów, nie troszcząc się zupełnie także o prawdopodobieństwo sytuacji i scen, z których niektóre nawet jak np. ta, w której syn trąca nogą trupa ojca, są zupełnie wstrętne. Znużylibyśmy czytelnika opowiadając treść tego unikatu w naszej literaturze, którego jedyną zaletę w przedstawieniu stanowił piękny wiersz i sumienna gra artystów z widocznym pietyzmem dla autora recytujących przydługie, ale niekiedy prawdziwie wzniosłe tyrady.

Tragiczna śmierć w Afryce młodego nieszczęśliwego Napoleonidy, nastręczyła jakiemuś francuskiemu fabrykantowi dramatów sposobność do napisania sensacyjnej sztuki i obfitego naładowania kieszeni. Nadzwyczaj smutno świadczy to o naszym wieku, skoro zważymy, że w tak cyniczny sposób wyzyskują nawet nieszczęście cudze, aby zarobić nieco mamony. Nie należymy wcale do zwolenników poległego młodzieńca, którego śmierć dla Francji, a tem samem dla ludzkości tylko korzyść przyniosła, ale wprowadzenie na scenę człowieka, którego skrwawione zwłoki jeszcze się nie rozpadły i nieszczęśliwej matki, która jeszcze nie ochłonęła po strasznym ciosie i nie starła łez z czerwonych powiek, niemniej sprowadzanie na scenę ludzi żyjących, uważamy jako brutalny brak uczucia, smaku, a nawet uczciwości. Wyzyskiwać cudzą boleść, obnażać przed obojętnymi widzami bijące jeszcze i krwawiące się serca, a to wszystko dla wywołania wstrętnego efektu i marnego grosza, to niegodne sztuki, to ją poniża, to obniża moralny poziom publiczności i mało tylko różni się od starorzymskich krwawych widowisk. Dyrekcja mogła nam była oszczędzić tego widowiska, które dla sceny ceniącej swą godność jest zawsze co najmniej niestosowne. Zapuszczać się w rozbiór tego dramidła, które w swoim rodzaju nie jest ani bardzo złe, ani też bardzo dobre, uważamy za zbytecznepowiemy tylko, że przedstawienie poszło gładko, a na szczególną wzmiankę zasługują: pani Aszperowa (Eugenja) i pp. Kwieciński (Ludwik) i Walewski (Alzatczyk Reinke). Ten ostatni grając po raz pierwszy wielką rolę, złożył dowody, że potrafi konsekwentnie przeprowadzić charakter i że posiada dość siły do wytrwania do końca. Talent i pracę tego młodego artysty zużytkować i rozwinąć, powinno być dla dyrekcji zadaniem zarówno pożytecznem jak przyjemnem. *B. Czerwieński.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Komitet krakowski jubileuszu J. I. Kraszewskiego ogłosił następujący program uroczystości jubileuszu Kraszewskiego, odbyć się mającego w Krakowie d. 30. września b. r. w połączeniu (?!) z otwarciem odnowionych Sukiennic:

1. Rada miasta Krakowa wyśle deputację z grona swego do Drezna, celem zaproszenia jubilata do Krakowa i towarzyszenia mu w podróży.

2. Dnia 29. września jubilat w towarzystwie deputacji Rady miejskiej przybędzie wieczornym pociągiem do Krakowa. Na dworcu kolei żelaznej przyjmie go komitet jubileuszu z prezydentem miasta na czele i odprowadzi do mieszkania.

3. Dnia 30. września o godz. 9. rano nabożeństwo w kościele NP. Marji. Chóry z towarzyszeniem organów śpiewać będą podczas nabożeństwa dawne polskie pieśni kościelne. Miejsca w kościele będą powyznaczane.

4. Po nabożeństwie odbędzie się poświęcenie i otwarcie odnowionych Sukiennic, a w szczególności poświęcenie gałki szczytowej, podpisanie dokumentu pamiątkowego odnowienia Sukiennic, przeznaczonego do przechowania go w gałce szczytowej. Inżynier kierujący budową wręczy następnie prezydentowi miasta Krakowa klucze Sukiennic, a prezydent obwieści otwarcie budynku.

5. W godzinę po otwarciu Sukiennic nastąpi właściwa uroczystość jubileuszu Kraszewskiego. Przedewszystkiem deputacje przybyłe z adresami, darami i powinszowaniami zajmą wskazane im miejsca w głównej sali pierwszego piętra Sukiennic. Następnie wejdzie do sali jubilat wprowadzony przez prezydenta miasta w asystencji Rady miasta i komitetu jubileuszowego. Jubilat na wstępie do sali będzie powitany kantatą (muzyka Władysława Żeleńskiego, wiersz Asnyka); potem deputacje w kolei oznaczonej składać będą jubilatowi powinszowania, adresy i dary. Adresy i dary zostaną w salach Sukiennic na widok publiczny wystawione.

6. O godzinie 6 popołudniu w dolnej sali Sukiennic uczta składkowa wyprawiona dla jubilata przez przybyłe na jubileusz deputacje i innych dobrowolnych uczestników uroczystości. Chcący w czasie uczty głos zabierać, winni się zgłosić do prezydenta miasta najpóźniej do 26. września, aby kolej toastów mogła być wcześnie przygotowaną i do wiadomości podaną. Do uczty zasiędą sami mężczyźni, dla kobiet będą galerje przygotowane.

7. Dnia 1. października około południa wycieczka do Wieliczki dla zwiedzenia salin.

O godzinie 7. wieczór uroczyste w teatrze przedstawienie zakończone odpowiednim uroczystości obrazem.

8. Dnia 2. października bal w Sukiennicach dany przez miasto Kraków i kosztem miasta z powodu otwarcia Sukiennic i jubileuszu Kraszewskiego.

9. Na każdą z powyższych uroczystości wstęp będą miały tylko osoby w odpowiednie bilety zaopatrzone. Aby przeto dla szanownych gości gorąco upragnionych przygotować mieszkania i obmyśleć dla nich miejsca w kościele i w Sukiennicach, a zwłaszcza też, aby wiedzieć, na ile osób przygotować ucztę, każdy, co chce być uczestnikiem wyżej wymienionych uroczystości, zechce się zgłosić do komitetu jubileuszowego Kraszewskiego na ręce Wgo Ludwika Zawiłowskiego, sekretarza Rady miasta, najdalej do 15. września b. r. — ci zaś, którzy chcą należeć do uczty na cześć jubilata wyprawić się mającej, złożą nadto u pomienionego sekretarza 10 zł. od osoby najpóźniej do 15. września.

*** W tych dniach ukazała się w hadlu księgarskim rzecz pana Edwarda Madejskiego pt: „Gimnastyka w szkołach ludowych“ (Lwów 1879).

Praca ta znanego ortopedysty winna znaleźć najszersze zastosowanie.

*** P. Ludwik Woyno wydał drugą część przekładu „Szkoły maszynisty“ Brossiusa i Kocha.

*** P. Ludwik Finkel, słuchacz wydziału filozoficznego uniwersytetu lwowskiego, napisał rzecz: „O poselstwach Jana Dantyszka“.

*** Tom drugi cennej pracy dra Edwarda Rittnera, pod napisem: „Prawo kościelne katolickie“ opuścił prasę we Lwowie.

Ogromna luka zapełnioną została tem rzadkiem dziełem w prawnej literaturze polskiej.

*** Nie możemy się niestety szczycić zbyt wielką ilością dzieł istotnie naukowych, opracowanych oryginalnie i wnoszących zapas samoistnej naukowej pracy w ogólną dziedzinę wiedzy więc też powinniśmy się starać o poznanie ich i rozprzestrzenienie z podwójną gorliwością. Taką pracą właśnie, którą uważe wykształconych czytelników polecamy, jest wyszła w roku zeszłym w Paryżu „Anatomja porównawcza zwojów mózgowych“ przez E. Chudzyńskiego, na zaszczyt literaturze naszej opracowana. Pan Chudzyński w świecie naukowym naturalistów francuskich, używa zasłużonej sławy jako niezmiernie uczony, zręczny i pracowity od lat wielu preparator w laboratorjum paryzkiego Towarzystwa antropologicznego, które zawdzięcza mu najobszerniejszy i najdokładniejszy zbiór mózgowych form (przeszło 500 okazów) jaki istnieje na świecie. Jeden z najkompetentniejszych sędziów w tej nauce. prof. Brocca, w swem dziewięcioletniem sprawozdaniu do ministra oświecenia, wymieniając prace wykonywane pod swoim kierunkiem w laboratorjum tak się o p. Chudzyńskim odzywa: „Jeżeli można było pomimo nadzwyczajnych różnic, zewnętrzne odszukać cechy wspólne wszystkim ssącym zwierzętom typu, to zawdzięczamy głównie ten wypadek procederowi modelowania zastosowanemu przez p. Chudzyńskiego z niezmordowaną wytrwałością i godną podziwienia biegłością“. Taki więc uczony jak p. Chudzyński, prowadzący swe studja samoistnie, opierający swą pracę na własnych badaniach i spostrzeżeniach obdarzył nas, jak powiedzieliśmy, w przeszłym roku pierszym tomem swego dzieła obejmującym mózgi zwierząt ssących, łącznie z mózgami małpiątek; jestto pierwsze może systematycznie dokonane i usprawiedliwione porównanie — a nadto 28 figurami objaśnione praktycznie. Otóż dowiadujemy się z jednego z pism poznańskich, że pan Chudzyński przystępuje obecnie do wydania drugiego tomu, który mózgom antropsidów i człowieka poświęcony, nabywa tem większej ciekawości i znaczenia. Nie wątpimy iż młodzi nasi naturaliści pospieszą zapoznać się z tą pracą

*** Trzydzieste czwarte zebranie niemieckich filologów i nauczycieli szkolnych, mające się wkrótce odbyć w Trewirze zapowiada się bardzo dobrze; zgłosiło swój przyjazd wiele znakomitości naukowych, tak niemieckich jak i zagranicznych.

*** W Amsterdamie w pierwszych dniach września zbierze się międzynarodowy kongres lekarski; przy tej sposobności będzie też urządzona wystawa aparatów lekarskich i chirurgicznych, książek itp.

*** W Brukseli w dniu 1. września i następnych odbywać się będzie w pałacu akademji szósta sesja Instytutu prawa międzynarodowego; program obrad niezmiernie interesujący.

*** W Bazylei w dniach 14. do 16. września obradować będzie związek szwajcarskich stowarzyszeń prawniczych.

*** Książce Edgara Monteila pt. „Le Rhin allemand“ odmówiono sprzedaży ulicznej i na dworcach kolejowych.

Prasa perjodyczna.

*** *Kosmos* w zeszytach V i VI zawiera: 1. O zasadniczych prawach przyrody. Napisał dr. Oskar Fabian. 2. O prawach mikrofonu przez dr. Juljana Ochorowicza. 3. Kronika naukowa przez prof. dra O. Fabiana, dra M. D. Wąsowicza i L. Hodolego. 4. Wiadomości bieżące.

Sztuki piękne.

*** Na Wystawę sztuk pięknych w Warszawie przybyło piękne płótno Siemiradzkiego — odkrywające nową stronę talentów młodego mistrza, a mianowicie talent w malowaniu krajobrazów, który przedtem dla autora Jawnogrzesznicy był jedynie ramą obejmującą grupy ludzi i architektoniczne przepychy. „Za przykładem bogów,“ jest sielanką Teokryta na gorącym schwytaną uczynku. U stóp półkulistej świątyni pełnej dymu kadzideł drzemie jezioro ciche, otoczone urwiskami skał i zielskiem wodnem porosłe. Na skałach tych warstwa rodzajnej ziemi i pocałunki słońca, żywią bogatą roślinność drzew i krzewów, rzucających cień na toń wód i chroniących kapliczkę przed oczyma ciekawego przechodnia. Na tem jeziorze kołysze się łódź a jej załoga z chłopca i dziewczyny złożona, wysiadła na ląd, by u stóp Amora i Psychy przytulonych do siebie i do ciemnej skalistej ściany, ofiary złożyć — dziewczyna sypie kwiecie do stóp posągu, chłopiec na jej koralowych wargach gorący wypala pocałunek. Podwójna ofiara wdzięcznie przyjęta i przez marmurową grupę bogów i przez różane usta bogdanki. Stojąc przed tą idyllą czujesz się czytelniku w inne przeniesion czasy i na łono innej natury. I purpurowe wnętrze świątyni patrzącej na cię z nadbrzeżnego pagórka i ołtarz z płonącym ofiarnym ogniem i piękna grupa Erosa całującego Psyche, powiadają ci żeś w onej klasycznej epoce, kiedy bóstwo nie wymagało od ludzi innych ofiar, prócz posłuszeństwa prawom natury, prócz kultu piękna — i miłości. Więc smagłe dziewczę nie boi się słodkiego sam na sam. Bez trwogi siadło do rzeźbionej łodzi i losy swoje złożyło w krzepką dłoń młodzieńca, bez zdziwienia i niepokoju przyjmuje pocałunek miłości, przyjmuje go tak beztrwożnie jak by to był jedynie pokoju pocałunek. Ręka rzucająca kwiaty ofiarne, ani drży, ani się cofa usteczkom na obronę i czoło się nie płoni i bogowie nie odwracają. Żeby jeszcze rysunek obydwu ludzkich postaci nie miał pewnych usterek, wrażenie dziś silne, potęgowałoby się stokrotnie. Widoczną jest przecież rzeczą, że na płótnie, o którym mówimy. szło artyście przedewszystkiem o krajobraz, o efekta światło-cienia, o marmurową grupę Amora i czepiające się podstawy posągów. zielone porosty. W ciszy tej samotnej a pięknej ludzie znaleźli się niespodziewanie, więc artysta mniejszą na nich zwrócił uwagę, może dla tego, żeby widza z krainy zadumy i marzenia, do zimnej nie ściągali rzeczywistości.

Szkoły.

*** Z końcem r. 1878 ustały ułatwienia, zawarte w rozporządzeniu minist. oświecenia z dnia 26 lutego 1873 r. l. 1023, według których wolno było i tym kandydatom i kandydatkom zdawać egzamina nauczycielskie, którzy nie ukończyli nauk w seminarjum naucz. i nie odbyli przepisanej praktyki nauczycielskiej. Obecnie wolno zdawać tylko egzamin dojrzałości *prywatnie* w seminarjum nauczycielskiem. Egzamin ten uprawnia do odbywania przepisanej praktyki i do objęcia posady młodszego nauczyciela lub nauczycielki. Ażeby zatem tym kandydatkom stanu nauczycielskiego, które nie mogą przez 4 lata uczęszczać do semin. nauczycielskiego, ułatwić złożenie przepisanego egzaminu dojrzałości, otwiera się w wyższym zakładzie wychowawczo-naukowym p. Wiktorji Niedziałkowskiej *kurs przygotowawczy* dla tych kandydatek, które wykażą się dostatecznem przysposobieniem, że w przeciągu dwuletniej nauki egzamin dojrzałości złożyć zdołają. Nauka na kursie tym odbywać się będzie systematycznie, kandydatki będą mogły korzystać z zasobnych zbiorów do geografji i historji naturalnej, a nadto będą miały sposobność ćwiczyć się w robieniu doświadczeń fizykalnych. Ażeby zaś i wymaganiom co do praktycznego uzdolnienia w nauczaniu zadosyć uczynić, urządzone będą ćwiczenia praktyczne, mające się odbywać w klasach zakładu pod kierunkiem dotyczących pp. nauczycieli i nauczycielek. Bliższej informacji udziela kierowniczka zakładu przy ul. Jagiellońskiej l. 7.

*** Podobny kurs przygotowawczy, otwartym także zostaje w znanym zakładzie wychowawczym Pani Felicji z Wasilewskich Boberskiej.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Na pamiątkę 50 letniej pracy literackiej J. I. Kraszewskiego, Towarzystwo Biblioteki polskiej w Rumunii, utworzyło „Bratnią pomoc“ imienia dostojnego jubilata, której celem będzie przychodzić z pomocą nieszczęśliwym, biednym i chorym.

*** W Fryburgu (Szwajcarja) otwarto testament księżnej Colonny (Marcello). Rozporządziwszy swym majątkiem osobistym na korzyść rodziny i udzieliwszy kilka szczególnych zapisów pamiątkowych, Marcello przekazuje testamentem kantonowi fryburskiemu wszystkie swoje dzieła, zbiory, gobeliny, meble artystyczne, z warunkiem aby w salach lyceum utworzono osobne muzeum jej imienia.

*** Na ostatniem zebraniu paryzkiej akademii przyznano nagrodę Montyona pannie Leontynie Nicolle. Juljusz Simon opowiedział życie uwieńczonej, która przez lat 28 była dozorczynią w szpitalu obłąkanych Salpetrière w Paryżu. Wstąpiła ona do tego szpitala w charakterze dozorczyni, aby módz w ten sposób otoczyć troskliwością swoją matkę chorą, tamże pomieszczoną. Matka zmarła dopiero przed rokiem, lecz mimo to panna Nicolle w zakładzie pozostała, oddając się z całem poświęceniem pielęgnowaniu chorych na umyśle kobiet W ciągu 28 lat, podczas których panna Nicole pełniła obowiązki dozorczyni, opuściło zakład przeszło 500 kobiet uleczonych, głównie zawdzięczając swe wyleczenie troskliwej jej opiece.

⁂ W Blossbourgu w Stanach Zjednoczonych poświęcony został w tych dniach kościół polski pod wezwaniem N. P. Marji Częstochowskiej. Ceremonji dopełnił ks. biskup z Serantonu, Wiliam O'Harn Konsekrator w przemowie swej podniósł ze szlachetnem zdziwieniem, iż mała garstka osadników (zaledwie 50 rodzin) zdołała w ciągu niespełna roku złożyć na budowę kościoła 2,000 dolarów i utrzymać duszpasterza.

⁂ Dzienniki londyńskie donoszą, iż silne nieporządki wynikły w Lurgan (Irlandja). *Home rulers*, urządzili tam procesję; celem utrzymania porządku policja postawiła w różnych punktach, któremi orszak przechodził, posterunki, podczas gdy silny oddział żołnierzy postępował tuż za orszakiem. *Home rulers*, rozdrażnieni tym dozorem, poczęli rzucać na konstablów kamieniami. Policja dała ognia. Jeden człowiek zabity a kilkunastu otrzymało niebezpieczne rany. Wzburzona ludność rzuciła się na pałac lorda Lurgan. Porządek jednak zdołano wkrótce przywrócić.

⁂ Wskutek długotrwałej suszy i nieprzezorności wieśniaków palą się w siedmiu miejscach lasy Risovacz, Osjecenica i Germecz; nakazano energiczne środki celem zlokalizowania pożaru, co jednak połączone jest z niesłychanie wielkiemi trudnościami.

⁂ Wybijanie monety dla Francji, które dotąd było wydzierżawiane, podejmie obecnie państwo; na kupno maszyn Izby uchwaliły 900,000 franków.

⁂ Ogólne zgromadzenie niemieckiego i austrjackiego towarzystwa alpejskiego w Salzburgu było bardzo liczne. Członków przyjmowano wielce serdecznie w Zell i Saalfelden. Obydwie miejscowości były ozdobione kwiatami i chorągwiami.

⁂ Podziemnym drutem telegraficznym połączono Berlin-Metz-Strasburg; Berlin połączony więc jest obecnie z zachodniemi twierdzami Niemiec dwoma podziemnemi drutami telegraficznemi: z jednej strony przez Magdeburg-Kolonję, z drugiej Kassel i Frankfurt nad Menem.

⁂ W tych dniach oddziały inżynierji konsystujące w Berlinie odbywały ćwiczenia z budową linji telegraficznych; zdołały one ustawić w przeciągu 40 minut 4,800 metrów ze stacją odejścia, przybycia i pośrednią.

⁂ Kijów ma być wkrótce silniej ufortyfikowany w miejscu, gdzie się znajduje obserwatorjum, zbudowany będzie fort na podstawie wskazówek jenerała Totlebena.

⁂ Znany wszystkim z wystawy przeszłorocznej *balon captif* Giffarda pękł niedawno; właściciel poniósł znaczne straty, gdyż sama materja kosztowała 100,000 franków, a wartość gazu znajdującego się w balonie w chwili pęknięcia wynosiła 26.000 franków.

⁂ Drezdeńska policja nakazała usuniecie z wystaw księgarskich reprodukcji głośnego obrazu Hans Makarta „Wjazd Karola V do Antwerpji" pod pozorem, iż takowy jest niemoralny.

⁂ W Algierskiej izbie wyższej wniósł Earl Redesdale w imieniu Earla Shaftesbury petycję opatrzoną bardzo licznemi podpisami, domagającą się wzbronienia młodzieży palenia tytoniu na ulicach.

⁂ Hazardy płci pięknej. Czytamy w „St. Pet. wied."

Po uchyleniu „stukołki" (gra kartowa) w klubach petersburskich, kobiety rzuciły się do „muszki" (*ditto* gra kartowa innego, niż „stukołka" rodzaju). Zgrywały się, co do grosza. W braku pieniędzy spadały na niwy zielone stolika: pierścienie, bransoletki i w ogóle wszystko, co tylko posiada jaką wartość. a miłośnicy kupna taniego i udzielania pożyczek na niesłychane procenta — w potrzebie zawsze się znajdą. To też było ich dosyć, i dosyć było skandali; niemal codziennie się wydarzały. Dla położenia im kresu, kluby (chociaż nie wszystkie dobrowolnie) wzbroniły kobietom brania udziału w grach kartowych. Ale nie ma prawidła, pozbawionego wyjątków; klub niemiecki zadość czyni tej prawdzie. W ustawie jego mieści się paragraf, pozwalający kobietom na uczestniczenie we wszelkich grach niezabronionych. „Muszka" z udziałem kobiet — panuje tu wszechwładnie. Kobiety-gracze założyły tu koczowisko swoje. Liczba skandali znacznie wzrosła.

⁂ Berlińska policja wydała rozporządzenia, dotyczące widowisk muzykalnych i deklamacyjnych w publicznych lokalach. Między innemi nakazano, izby na 24 godzin przed urządzeniem tego rodzaju widowisk uzyskano pozwolenie, przedstawiając władzy policyjnej utwory dramatyczne, pieśni, poematy. Przedstawienia nie mogą się rozpoczynać przed siódmą a kończyć nie później niż o 11 godzinie. Dzieciom uczęszczającym do szkół bezwzględnie wzbroniony został wstęp na podobne widowiska. Odczyty publiczne, koncerta i produkcje, mające na celu interes naukowy, wyjęte są z pod tych rozporządzeń.

⁂ Na mocy ustawy przeciw socjalistom, rząd niemiecki wydał do 30 czerwca 1879 roku 648 zakazów, z których 217 dotykało stowarzyszeń, 147 publikacyj perjodycznych, 278 publikacyj nieperjedycznych, a 5 kas stowarzyszeń wzajemnej pomocy. Z dystryktów administracyjnych pruskich najwięcej zakazów przypada na berliński i wrocławski. Z krajów, należących do Niemiec Saksonja i Wielkie księstwo Heskie najwięcej otrzymały zakazów.

⁂ Brukselska policja wystąpiła energicznie przeciw grze w *baccarata*. W ostatnich dniach opieczętowano pieniądze i spisano protokół w jednym z tamtejszych klubów. Grających było 19 osób, pomiędzy nimi także jeden z urzędników policyjnych. Sprawę odesłano na drogę sądową.

⁂ W Paryżu wskutek nieszczęśliwych wypadków, których ofiarą stali się p. Belliam i jego żona, pogromcy teatru Folies-Bergère, władza zabroniła dalszych produkcji z lwami, uważając je za niebezpieczne dla życia ludzkiego.

⁂ W Paryżu sprzedano na licytacji Grand Hôtel za sumę 28,060,000 franków.

⁂ Ubezpieczenie Szegedynu i całego dorzecza Cisy i Dunaju na Węgrzech od wylewów, zdaniem fachowych inżynierów, którzy badali stosunki na miejscu, kosztowałoby około 100 miljonów guldenów.

⁂ W Stuttgardzie w dniu 24 września zbierze się wiec stowarzyszeń prasy ewangielicko-chrześcijańskiej.

⁂ Szybkość jazdy na drogach żelaznych. W Niemczech ukazało się niedawno ciekawe studjum nad szybkością pociągów w rozmaitych krajach europejskich. Najszybsza jazda ma miejsce w Anglji między Londynem i Douvres, między Londynem i Yorkiem, między Londynem i Hastings; pociągi robią tu średnio 80 wiorst na godzinę. W Belgji niektóre pośpieszne pociągi idą z szybkością 67 wiorst; we Francji kurjerski pociąg z Paryża do Bordeaux robi średnio 63 wiorsty. Tak samo jeżdżą pociągi kuryerskie z Berlina do Kolonji. We Włoszech najszybsza jazda 50 wiorst, jest między Bolonją i Brindisi; w Austrji 40 do 48 wiorst; w Rossji na kolei z Petersburga do Moskwy i w Szwajcarji między Genewą a Lozanną, między Zurychem i Romanshornem 43 wiorsty.

Zjawiska przyrody.

⁂ O niesłychanem a groźnem zjawisku w Byteniu powiecie Słonimskim donosi „Wileński Wiest.", co następuje: dnia 23 lipca w czasie ciszy i pogody nad miasteczkiem Byteniem, pokazał się obłok ciemnosinego koloru, z pośrodka którego wychodziły słupy ogniste. Na przeciwnej stronie horyzontu nadciągała czarna chmura, tak że w mieście zrobiło się prawie ciemno. Przy spotkaniu chmur nad miastem nastąpił tak silny świst, iż przestraszeni mieszkańcy wybiegli z domów, a widząc ogień wołać zaczęli: pożar. Ale w tej chwili spuściła się trąba z silnym trzaskiem; wirować zaczęła około cerkwi, oderwała jeden z jej węgłów i wywróciła dwa stuletnie drzewa przy niej rosnące. Wszystko to stało się w jednem mgnieniu oka. Trąba szła dalej, towarzyszył jej straszny świst i wicher, zrywający dachy z domów. Zleciało ich 29, z tej liczby z 17 włościańskich i 12 żydowskich domów; niektóre zaniesione zostały do zarośli o wiorstę odległych. Na jednym domu zerwany dach uderzył o parkan, obrócił się w poprzek i osadził znowu na domu. Na innym domu, zerwany dach z wierzchnią częścią samego budynku podniósł się na półtora arszyna, spadł następnie z taką siłą że dom był w niebezpieczeństwie zgruchotania. Następnie powietrzna trąba przeniosła się na rzekę Szczarę i wyparła wodę z koryta na znacznej przestrzeni, a posuwając się z jej biegiem i rycząc straszliwie znikła. Nikt z mieszkańców szwanku nie poniósł, skończyło się na przestrachu i znacznych materjalnych stratach.

⁂ W Monachjum 23 sierpnia szalała gwałtowna burza. Groźnej mocy ulewa trwała przeszło godzinę. Siła spadającego deszczu była tak wielką, iż znaczne ilości wody wcisnęły się do gmachu pałacu międzynarodowej wystawy sztuk pięknych. Cenne obrazy były w wielkiem niebezpieczeństwie. Zrobiono wszystko, aby obrazy zabezpieczyć od zniszczenia. Mimo tego nie obeszło się bez szkód. Południowe skrzydło budynku wystawowego musiano zupełnie opróżnić.

⁂ Dzienniki duńskie konstatują, iż gwałtowne burze szalały w różnych punktach Danji w nocy z 3 na 4 b. m. Przeszło sto folwarków uległo zupełnemu zniszczeniu, a około 50 osób zostało zabitych. Szkody w zbiorach są nieocenione.

⁂ W Paryżu panują upały; zdarzyło się kilka wypadków porażenia promieniami słonecznemi.

⁂ Wezuwjusz znów od kilku dni wyrzuca gwałtownie z krateru dym i płomienie. Zaczęła też wylaniać się i lawa, która płynie po stokach wulkanu w niziny. Wieczorem przedstawia się wspaniałe widowisko, któremu przygląda się tysiące osób.

Nekrologja.

Zmarli:

† *Feliks Schober* znany warszawski literat i artysta dramatyczny w Warszawie.

† *Aleksander Gryglewski*, profesor krakowskiej szkoły sztuk pięknych, znakomity malarz architektoniczny, wyskoczywszy z okna drugiego piętra w Gdańsku.

† *Dr. Henryk Levittoux*, lekarz i autor wielu dzieł treści filozoficznej, w Warszawie.

ROZMAITOŚCI.

⁂ W Spoleto przed sądem przysięgłych roztrząsany był sensacyjny proces. Bogaty mieszkaniec tutejszego miasta., Karol Marcucci, oskarżony był o zamordowanie lekarza Wincentego Dominicisa. Marcucci, któremu zapadł w niemoc czternastoletni syn, przywołał doń lekarza Dominicissa i przyrzekł mu 2,000 lirów za wyleczenie, grożąc mu natomiast śmiercią, gdyby dziecię zmarło. Chory umarł, a inny lekarz wezwany na konsultację przypisał śmierć błędnemu leczeniu. Marcucci zabił wtedy doktora wystrzałem z rewolweru. Trybunał miasta Spoleto skazał zabójcę na pięć lat więzienia i zapłacenie 25,000 lirów tutułem szkód i straconych korzyści wdowie doktora Dominicisa.

⁂ W zwierzyńcu berlińskim w tych dniach nagle zakończył życie wielki słoń indyjski, a lekarze kliniki dokonali sekcji na trupie olbrzymiego zwierzęcia. Sześć koni ledwie ze stajni wyciągnęło wóz, na którym nieżywy słoń był złożony za pomocą największych dźwigni. Niemało też kłopotu mieli lekarze, nim nożykami sekcyjnemi zdołali przeciąć grubą skórę słonia, ażeby dostać się do organów wewnętrznych. Sekcja wykazała, że śmierć zwierzęcia nastąpiła w skutek utworzenia się kamieni w wątrobie. Słoń jednak cierpiał także na próchnienie kości, mianowicie żeber po lewej stronie i w kolanach tylnych łap. Dalej pokazało się, że i płuca były zepsute. Zdaniem lekarzy biedne zwierze, które bezwątpienia padło ofiarą ostrości klimatu środkowo-europejskiego, bardzo cierpiało w ostatnich latach, zwłaszcza z powodu próchnienia kości w tylnych łapach, na których się opiera cały ciężar jego olbrzymiego ciała. Uważano też od dłuższego czasu, że drży, stojąc na miejscu.

⁂ Oto są niektóre zwyczaje w przedmiocie żałoby w różnych czasach i u różnych narodowości.

U Egipcjan, golono sobie brwi w razie śmierci któregokolwiek z krewnych, największą jednak żałobę nosili w razie utraty psa domowego. Wtedy, według świadectwa starego greckiego historyka Heradota, Egipcjanie nie pozostawiali na całem ciele, ani jednego włosa.

Jedną z oznak żałoby u Hebrajczyków, były rozdarte szaty. Zwyczaj ten przechował się aż do najnowszych czasów. Mogliśmy widzieć P. P. Rot-

szyldów na pogrzebie barona Jamesa Rotszylda w rozdartych szatach.

Żałobę w Japonii oznacza kolor biały, w Turcji niebieski lub fioletowy, w Abisynii popielaty. Król francuski Ludwik XI po ojcu Karolu VII nosił żałobę w kolorze szkarłatnym. Noszenie sukien na wywrót, używanie koni z krótko uciętemi ogonami, bywało także znakiem żałoby.

*** W Saratowie ukazuje się publicznie fenomenalnie tłusta „dziesięcioletnia dziewczynka".

Waży ona... 418 funtów!!

Jeżeli dziewczyna pożyje dłużej, będzie jej mogła pozazdrościć znana warszawianom — Flora.

Od kilku miesięcy małą tłuściochę wozi po miastach w Cesarstwie jakiś zmyślny przedsiębiorca, płacąc za to matce dziewczyny po 70 rubli miesięcznie.

Mała koleją jeździć musi towarowemi wagonami, we drzwi bowiem pasażerskich powozów nie może się zmieścić.

Przedsiębiorca zamierza fenomenalną dziewczynę obwozić po całej Europie.

*** Z „Wyrazowykładu" w dzienniku rosyjskim „Mołwa".

Tancerka. — Kapłanka pląsów i pantominy, nierzadko skłonna do pantomin miłosnych. Tancerz.— subjektum, robiące niekiedy nogami karjerę i wszędzie przyjęte w charakterze kawalera tańczącego. O podobnych posuwistych karjerzystach ktoś dawno już powiedział:

Nad Newą. — hołd i cześć
Wam, sprawiedliwe bogi! —
Pocieszająca wieść! —
Talentom pomnik wznieść,
Co z głów nam przeszły w nogi.

Prasa bieżąca. — Rzeka atramentowa, biorąca swój początek w mętach „Pszczoły północnej" Bułgarina, a wpadająca w sprzeczności rażące albo w denuncjacje.

Bieżąca prasa. — Słuszna rzecz —
Tak nazwać druków naszych krocie:
Bieżące są, w istocie —
Ale wstecz.

Wiski. — Mocna wódka amerykańska, — jedyny punkt zbliżenia naszych „przyjaciół zaatlantyckich" z przybywającymi do nich podróżnikami rossyjskimi.

Strata. — Podług współczesnych negocjantów, handel z zyskiem 100% jest już stratą.

Przekonania, zasady. — Moneta, bardzo łatwo zmieniana, a obecnie całkiem wycofana z obiegu.

Nie od dziś nasze dziennikarskie ciało
(Pięć, sześć wyjątków ledwie temu przeczą)
Wierzy w zasadę jedyną a stałą,
Że mieć zasady — jest zbyteczną rzeczą.

KLUB NERWOWYCH

przez

EDWARDA DANGIN.

(Ciąg dalszy.)

III.

Przyjaciel Scypion.

Nie troszczyło go wprawdzie życie materjalne, gdyż rodzice zostawili mu maleńki kapitalik przynoszący rocznego procentu około ośmiuset franków, co jeśli mu nie pozwalało prowadzić wystawnego życia, to przynajmiej nie pozwalało mu umrzeć z głodu.

Dla zapewnienia sobie spokoju i pewnej przyjemności, której nie mogła by macić złość ludzka, postanowił on przez całe dnie oddawać się nauce a wieczorami dopiero wychodzić z domu. W ten sposób był pewnym, że jego kalectwo ukryte będzie dla oka przechodniów i że uniknie szyderskich uśmiechów.

Wszystko szło jak można najlepiej z początku. Ten sposób życia który sobie wymyślił uszczęśliwiał go zupełnie z wiekszą też cierpliwością znosił swoje dolegliwości i pierwszy nawet śmiać się z nich zaczął.

— Żartuję sam z siebie — mawiał — ażeby się ochronić od żarcików moich bliźnich.

Ta filozofia jednak nie trwała tak długo jak sobie obiecywał. Wkrótce przekonał się, że nie jest w stanie żyć bez towarzystwa ludzi. Wtedy dla pokonania nudów, które mu coraz mocniej zaczęły dokuczać, umyślił dwie przechadzki dziennie odbywać i w tym celu wybrał sobie miejsce w ogrodzie Tuileries zwane *La Petite Provence.*

W tym to kąciku spokojnym, oddalonym od wszelkiej wrzawy i strojów zbierają się starcy, ażeby pod dobroczynnemi promieniami słońca rozgrzać członki skostniałe wiekiem. Tam także spotyka się ludzi kochających się w spokojności i rozmyślaniach, którzy zbyt są niewinni i zajęci sobą, ażeby szydzić z istoty dotkniętej kalectwem. Niejeden z nich przeciwnie widząc niedolę przejęty litością usiłuje pocieszyć i przynieść ulgę.

Tam to Nepomucen poznał przyjaciela Scypiona.

Kto był przyjaciel Scypion będę się zaraz starał wyjaśnić.

Jan Jakób Scypion był tak jak Nepomucen od urodzenia dotknięty drganiem nerwowem. Te drgania częstsze i widoczniejsze niż drgania Mathiasa polegały na dziwacznem podnoszeniu prawej ręki ku nosowi, ale to w sposób tak silnie nerwowy, że ręka chwytała za nos i nie chciała go już puścić. Wskutek tego nieszczęśliwy musiał uciekać się do lewej ręki, ażeby się uwolnić od psotnego figla jaki mu płatała prawa. Nie potrzeba dodawać, że w tem wszystkiem biedny nos był najbardziej pożałowania godnym, gdyż wskutek tych powtarzanych napaści stał się czerwonym, spuchniętym i zdefigurowanym.

Nepomucen spostrzegłszy po raz pierwszy to drganie nerwowe, uczuł się przejętym głęboką wdzięcznością dla nieba, które raczyło go uwolnić od tak strasznego kalectwa. Potem postanowił poznać się bliżej ze Scypionem mówiąc sobie:

— Ten przynajmniej nie będzie sobie żartować ze mnie.

Wkrótce zapanowała ścisła przyjaźń pomiędzy tymi ludźmi, którzy znajdowali w wspólnem towarzystwie ogromną ulgę dla swego cierpienia. Scypion bowiem tak jak Nepomucen oddawna gorzko cierpiał na swoje osamotnienie, gdyż dla niego towarzystwo ludzkie bardziej jeszcze było zamknięte niż dla biednego Mathiasa.

Obaj przyjaciele stali się wkrótce nierozłączni opowiedzieli sobie swoją historję, wszystkie rozczarowania, jakich doznali i uskarżali się na ciągłe szyderstwa jakie musieli znosić.

— Czyś nigdy kochany przyjacielu nie usiłował w jakikolwiek sposób — zapytał Scypion — przeszkodzić tym drganiom nerwowym?

— O bardzo wiele razy, ale mi się to nigdy nie udało.

— No to jeśli zechcesz będziemy próbować, szukać nowego środka, a może co znajdziemy. Co za szczęście jeśli potrafimy się pozbyć tego kalectwa, które budzi we wszystkich wstręt, pogardę, a niekiedy i szyderstwo.

Obydwaj przyjaciele wzięli się do pracy i po kilku dniach zwierzyli się sobie ze skutków swojej pracy. Nepomucen wychodził z tego założenia, że kiedy nerwowe drgania zmuszają go do podnoszenia prawego ramienia, to gdyby podwyższył podeszwę w bucie u lewej nogi, cała waga ciała przechylić by się musiała na prawą stronę. Tym sposobem przy drganiu przymuszonem prawe ramię równałoby się z lewem, które byłoby wyższe i widzowie nie domyślali by się niczego.

Ze swojej strony Scypion powiedział sobie. Dla zniweczenia skutków mego kalectwa dosyć byłoby utrzymać rękę ażeby się nie poruszała. Zdaje mi się, że gdybym przywiązał ją silnie w kieszeni, to otrzymałbym pożądany skutek i całe drganie, dzięki mojemu środkowi ograniczyłoby się na lekkich wstrząśnieniach nerwowych. Chcąc dojść do tego rezultatu Scypion przyszył guzik do wyłogów na rękawie swego surduta, a na guzik ten miała się zapinać dziurka od kieszeni przy spodniach.

Nasi przyjaciele uszczęśliwieni ze swojego odkrycia, tysiące pomyślności sobie z niego obiecywali, w nadziei, iż teraz bez obawy będą mogli pokazywać się ludziom.

Jednego dnia też wybrali się do la Petite Provence idąc prosto, odważnie, z głową dumnie podniesioną do góry.

Ale niestety! na samym środku wielkiej alei w Tuileries Nepomucena pochwyciło drganie... skutek jednak wywarło ono zupełnie inny niż się spodziewał. Różnica w wysokości obcasów była tak wielką, że przy gwałtownem wstrząśnieniu musiał się potknąć i padł jak długi na piasek.

Dolegliwości nerwów są zaraźliwe. Wypadek Nepomucena tak silne wywarł wrażenie na Scypiona, że drganie jego pochwyciło go z całej siły. Ręka pochwycona niepowstrzymanym pędem przerwała zaporę powstrzymującą ją w kieszeni, wydarła zarazem kawał spodni i podniosła się do nosa nieszczęśliwego.

Można sobie wyobrazić zawstydzenie tych dwóch biednych ludzi. Nepomucen podniósł się jak mógł najspieszniej, Scypion zapiął czemprędzej surdut, ażeby ukryć nieład swojego stroju, i obydwaj z sercem zbolałem ze łzami w oczach usunęli się z tłumu, który brał się za boki patrząc na nich i zamierzali powrócić do domu.

W chwili kiedy zbliżali się do bramy, wysoki starzec, który szedł za nimi od dłuższego czasu, choć go nie spostrzegli przysunął się nagle do nich.

Początkowo nasi przyjaciele przestraszyli się bardzo, gdyż starzec posunął nagle rękę do lewego biodra jakby chciał szablę wyciągnąć z pod surduta.

— Nie zwracajcie na to uwagi — wymówił, i słuchajcie tego co wam powiem. Odgaduję bardzo dobrze jaki jest powód tego co się wam wydarzyło... Każdy z was podlega drganiu nerwowemu... I ja także mam to kalectwo którego przed chwilą widzieli. Byłem podoficerem w 30 dragonów i w skutek silnego tyfusu pozostałem z dolegliwością nerwową, która mnie zmusza do wyciągania szabli. Gdybym miał broń przy sobie, to bym przeciął na pół wszystko co by było pod moją ręką. To też nie ośmielam się nawet nosić przy sobie laski... Ah! jakże ja was żałuję..

— Masz pan słuszność — odpowiedzieli mu chórem.

— Tak musieliście bardzo cierpieć... wprawdzie jest was dwóch, ale to nie dosyć.. Jeśli chcecie, to możemy zawrzeć bliższą znajomość. Co niedzieli zbiera się u mnie kilka osób podlegających podobnemu do naszego kalectwu, a tem samem zmuszonych do uciekania od towarzystwa, więc utworzyliśmy sobie odrębne towarzystwo i dobrze nam z tem. Im bardziej ktoś jest nieszczęśliwym, tem lepiej umie innych pocieszać. Jeśli zechcecie to moglibyście do nas należyć.

— Bardzo chętnie.

— A jeszcze słowo. Wasze drgania nerwowe są osobliwsze, powinnibyście się kazać obejrzeć w Akademii medycznej. Możebyście otrzymali pensję, ażeby po śmierci miano prawo zrobienia sekcji waszych ciał.

Obaj przyjaciele skrzywili się.

Stary żołnierz ciągnął dalej.

— Wiem że to nie jest bardzo przyjemnem, że tomało komu się uśmiecha, ale można się przyzwyczaić do tej myśli. A jak się raz umrze, to cóż to kogo może obchodzić

— No, to pójdziemy za pańską radą.

— I będziecie mieli słuszność... Zatem do niedzieli, to już postanowione... Oto mój adres.

— Do niedzieli. (Dok. nast).

Treść Nr. 32. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.